KS. RYSZARD PACIORKOWSKI
CHRZEŚCIJAŃSTWO
W APOLOGETYCZNEJ MYŚLI
ŚW. AUGUSTYNA
Str. 112 Cena 15/6 i 6 d. za przesyłkę.
Na zamówienie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK IX. Nr 9 (401)

LONDYN, 27 LUTEGO 1955 R.

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

POSIEW I ŻNIWO

Znajdujemy się w tygodniach przypominania ponurej rocznicy układów z końca wojny, które w skrócie oznaczane są nazwą krymskiej miejscowości — Jałta. Na kilka miesięcy przed ustaniem ogn.a w drugiej wojnie światowej zapadły w Jałcie decyzje, które przesądziły na długi okres czasu charakter nie tylko samej wojny, nie tylko typ pokoju następującego po niej, ale również i pewne zasady cywilizacyjne.

W dziesięciolecie tych targów, inicjatorzy ich i uczestnicy — milczą, ale ci, którzy decyzjami zostali dotknięci, czynią duże wysiłki, aby przypomnieć jak najgłośniej wszystkie krzywdy, których Jałta była początkiem. Naród polski, jedna z najcięższej dotkniętych ofiar decyzji jałtańskich, w przedstawicielstwie swoim, emigracji politycznej — usiłuje wszystkimi dostępnymi sposobami uwydatnić przed opinią t.zw. wolnego św.ata ilość i rodzaj krzywd, jakie Polakom zostały wyrządzone. Odbywają się zebrania i wiece, wydawane są broszury i pisma ulotne, podkreślające, że w Jałcie oddany został na łup drapieżcy wierny sojusznik, którego w ostatniej fazie wojny, gdy już nie był potrzebny, zaprzedano w niewolę.

Należy, rzecz prosta, uczestniczyć jak najpełniej w tych wszystkich demonstracjach i protestach. Nie można tylko nie podkreślić przy takiej okazji faktu pewnego partykularyzmu całej tej akcji, polskiej i innej, oraz kładzenia nacisku na szczegóły, z pominięciem istoty sprawy, która w tym wszystk.m tkwi.

Każde ze słusznie wymienionych następstw Jałty powinno być i wypominane i piętnowane. Tylko, że istota zła zawarta jest w poszczególnych wypadkach zaledwie częściowo, całość zaś jej tkwi w zagadnieniu nie politycznym, ale moralnym, jakie zostało rozstrzygane na konferencji w Jałcie. Państwa wolnego świata, przede wszystkim Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, prowadziły wojnę z szeroko rozwiniętym sztandarem wolności i sprawiedliwości. Do broni, jakie zostały użyte w drugiej wojnie światowej . wliczono również broń słuszności moralnej, a obóz zachodni w sposób wyraźny, przez deklaracje i uroczyste umowy, wykreował się na bastion moralnych podstaw świata.

Gdy więc w Jałcie ten właśnie obóz, złamał pewne podstawowe prawa moralne — to główne zło, nawet przed krzywdami poszczególnych ludzi i narodów, tkwiło w tym, że w ogóle zasada została złamana. Ten fakt bardzo wyrazistego podeptania jednej z podstaw cywilizacji ludzkiej otworzył źródła zła, które od tego czasu zatruwa podstawy życia m.ędzynarodowego.

W końcowych stad.ach wojny i zaraz po niej — ale już po konferencji w Jałc.e — głośno i gromko było na świecie na temat re-edukacji Niemców. Mówiło się, że naród ten, rządzący się w swych decyzjach międzynarodowych prawem dżungli, musi zostać przeobrażony edukacją zasad moralnych, a akcję re-edukacyjną bierze w swe ręce Zachód. Wiadomo było z góry, że te głośne deklaracje pozostaną raczej fikcją, gdyż we wszelkiej edukacji najistotniejszym czynnikiem jest przykład osobisty samego wychowawcy. Czy naprawdę na Niemców mógł wydatnie wpłynąć Zachód, który właśnie kilka miesięcy przed tym w sposób wyraźny zademonstrował, że zasady moralne są tylko polityczną koniunkturą? Czy istotnie sądziło się, że naród niemiecki nie śledził przebiegu procesu w Norymberdze i nie w.dział jak sądzono niemieckich ludobójców, a jak gładko wyłączono z procesu tych, którzy w Katyniu i innych miejscach strzałem w tył głowy potwierdzali swoje nowe, nieludzkie prawo moralne?

Od dziesięciu lat jesteśmy świadkami bezustannego oddawania terenów, jednego po drugim, w niewolnicze jarzmo okrutnego systemu, a proces ten bynajmniej się nie kończy, ale w ostatnich latach tylko się jeszcze wzmaga. Każą nam te wypadki śledzić przez łamy prasy światowej, stroiąc je w puste gesty dyplomacji światowej, która stara się zatrzeć prostą wymowę samych faktów. Lecz w tej całej międzynarodowej krzątaninie i zgiełku, czy pyta ktoś o człowieka, o ludzi oddawanych terenów; jaka jest ich wola, na jaki oni idą los?

Świat cywilizacji ludzkiej, zbudowany przecież — według jego własnych deklaracji — na zasadach moralnego poszanowania człowieka, w swoich międzynarodowych czynnościach zachowuje się w sposób bezduszny, niemoralny i okrutny. Od dawna podkreślano to pęknięcie cywilizacji naszej, ten rozdźwięk, który istn.eje pomiędzy zasadami stosowanymi w życiu osobistym, w życiu nawet mniejszych zespołów, a zasadami życia międzynarodowego.

Między uczestnikami organizowanych obecnie wypomnień jałtańskich, miałyby się pełne prawo znaleźć również i główne kraje Zachodu. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Wystarczyło dziesięciu lat, aby się mogło okazać, że przetarg zasadami moralnymi nie opłacił s.ę, że w prostej konsekwencji Jałty najwyższego zagrożenia doznaje Wielka Brytania, a w nie dużo bezpieczniejszej pozycji są i Stany Zjednoczone.

Nie chodzi wszakże o gorzką satysfakcję konsekwencji niewłaściwego uczynku. Chodzi o sam fakt istnienia pewnego problemu, który — on właśnie, a nie tylko rachunek siły broni atomowych — przesądza już w tej chwili i będzie przesądzał losy tego świata w najbliższej przyszłości.

Przekleństwo Jałty polega na tym, iż moralna baza polityki międzynarodowej popełn.ła błąd typu moralnego, dopuściła się grzechu. Ten uczynek zatruwa życie międzynarodowe i wykrzywia mierniki, jakimi się kieruje człowiek w swoim postępowaniu. Ten uczynek spowodował olbrzymie reperkusje w życiu jednostek i w życiu zbiorowym, w postępowaniu zarówno narodów wolnych, jak i narodów oddanych w niewolę. Przestały nagle istnieć punkty oparcia dla życia międzynarodowego, których istnienie warunkowało dawniej normalny rozwój cywilizacyjny, na pewno w formie nieidoskonałej, ale w każdym razie w ilości dostatecznej, aby uniknąć powszechnego chaosu i obłędu pojęciowego, jaki panuje dzisiaj.

W rozumieniu tych rzeczy przeszkadza ludziom parę spraw, które rozbudowywane są ponad ich właściwą wielkość właśnie po to, aby pocieszająco odgradzać jako tako bezpieczne narody od prawdziwej rzeczywistości współczesnej. Pierwszą z tych spraw jest przesadna wiara w działania dyplomatyczne. Następuje przestawienie wartości: dyplomację zaczyna się uważać za wartość samą w sob.e, za wszechmocną receptę na wszelkie zło międzynarodowe, podczas gdy jest ona jedynie ośrodkiem o ograniczonych możliwościach sprawności.

Drugim parawanem, za który chowa się skwapliwie skołatana myśl polityczna współczesnego świata, to wiara w materialną przewagę produkcji przemysłowej i pomysłowość w wynajdywaniu nowych środków niszczenia. Gdy się trochę w te sprawy wmyśleć, widać wyraźnie błąd i słabość tych nadziei: zawieszane są one na cienkiej nitce przekonania, że broń Zachodu będzie mocniejsza od broni „krajów socjalizmu". A jeżeli nie będzie?

Bardzo powoli i z bardzo wielkim trudem przedziera się przez myślenie współczesne świadomość tego, że zmaganie, którym owładnięte są ludy świata, nie jest tylko zmaganiem dyplomacji, ani zmaganiem wywiadów, ani zmaganiem sztabów — jest walką o typ kryteriów moralnych, które mają kształtować życie człowieka. Można się pocieszać analogiami wojen dawniejszych, kiedy to na polach bitew rozstrzygały przede wszystkim dyplomacja i broń. Ale teraz tak nie jest. Dziś stanęła walka o samą moralność i ten zwycięży, kto, nie zaniedbując i dyplomacji i broni na tym właśnie odcinku będzie silniejszy.

Konferencja zaś krymska t. zw. Jałta, z tego punktu widzenia Sowiety wzmocniła, a osłabia Zachód. Czyż nie czas tedy najwyższy — zawrócić?

J. K.

KS. ROMUALD ZANIEWSKI

PARĘ UWAG W SPRAWIE KONTROWERSJI O CZŁOWIEKU Z PILTDOWN

W związku z zamieszczoną w ŻYCIU z dnia 23 stycznia br. notatką o kontrowersji na temat człowieka z Piltdown, pragnę poczynić następujące uwagi.

Jeśli, jak pisze anonimowy autor, lat temu czterdzieści zakotłowało się w świecie naukowym na wieść o odkryciu przez Dawsona człowieka z Piltdown i adoptowaniu go przez antropologa w British Museum Woodwardsa,(1) to nie dlatego tylko, że miałby on przedstawiać poszukiwany przez antropologów „missing link", lecz raczej z powodu tego, że niweczył on tak pieczołowicie ułożony przez transformistów „dogmat" o mechanicznym i progresywnym rozwoju człowieka, począwszy od małpy, poprzez dwa zasadnicze człony: „człekomałpi (Pithecathropus) i wyraźnie ludzki (Neanderthal).(2)

Wykopalisko to wykazało bowiem, zresztą jak wiele innych,(3) że przed człowiekiem z Neanderthalu istniał już zupełnie zdeterminowany „Homo Sapiens", będący może nawet współczesnym Pithecanthropusowi. Licząc się więc z tym wielkim odkryciem antropologowie zostali zmuszeni ułożyć nową teorię o istnieniu tzw. linii bocznych, przedcześnie rozwiniętych, których pierwszym przedstawicielem miałby być właśnie ‚Eoanthropus Dawsoni".

Zrozumiałą jest rzeczą, że odkrycie to stało się „solą w oku" wszystkich zwolenników Darwina, pragnących każdy nowo odnaleziony eksponat włączyć do ułożonego z góry cyklu rzekomego rozwoju człowieka. Okazji ku temu zresztą nie zbrakło i w tym wypadku, albowiem wkrótce po wynalezieniu człowieka z Piltdown, Dawson wspólnie z Woodwardsem odkryli w tychże złożach szczękę noszącą wyraźnie cechy antropoidów.

Łącząc te dwa znaleziska w jedno, zaczęto więc snuć różne domysły o tzw. ewolucji „różniczkowej" (Différencielle), zgodnie z którą rozwój człowieka nie odbywałby się globalnie, lecz częściami. Jedne organy miałyby się „uczłowieczyć" wcześniej, inne później. W ten sposób „zezwierzęcony" częściowo przez zwolenników tzw. teorii dualizmu wyraźny homo sapiens, stał się bardzo wygodnym eksponatem do daleko idących konkluzji dla mało się liczących z rzeczywistością transformistów.

Z górą 250 prac napisano na ten temat ((kto to wszystko przeczyta!), chociaż poważna część antropologów już przed czterdziestu laty orzekła z góry, bez fluorowych badań, że szczęka należy do małpy, a czaszka do „Homo sapiens", i że tych dwu eksponatów nie należy ze sobą łączyć(4) (Opinia unicystów).

Potwierdzenie tej ostatniej tezy znajdujemy dzisiaj w orzeczeniu trzech współczesnych antropologów, Weinerta, Clarka i Oakley'a, którzy ostatnio zadali sobie trud wydobycia z hermentycznie zamkniętych kufrów, „oryginałów" i, poddając je ścisłym badaniom metodą fluorową, doszli do wniosku, że szczęka (nie czaszka) jest najzwyklejszym falsyfikatem.

„The faking of the mandible and caine — głosi ich orzeczenie — is so extraordinarily skilful, and the perpetration of the hoax appears to have been so entirely unscrupulous and inexplicable, as to find no parallel in the history of palaeontological discovery".(5) („Podrob.enie żuchwy i kłów jest tak niezwykle um ejętne, oszustwa dokonano z tak zupełnym brakiem skrupułów i tak zagadkowo, że jest ono czymś bez paraleli w dziejach paleontologii.")

Zachodzi więc pytanie, co za cel jest tego fałszerstwa i kto go mógł dokonać? Szczęśliwi odkrywcy tej naukowej „afery" dyskretnie starają się zamilczeć. Powaga naukowa Woodwardsa, który adoptował to wykopalisko nie jest tak łatwą do obalenia.

Nie wdając się oczywiście w szczegóły tej sprawy, wydaje się jedna rzecz pewną, że fałszerstwa tego nie mogli dokonać przeciwnicy tezy transformistów, albowiem odkrycie człowieka z P.ltdown dało im dość potężną broń w walce z ułożonym od dawna „dogmatem" o rzekomym rozwoju człowieka od form niższych ku wyższym. Widocznym jest więc, że inicjatywa musiała wyjść właśnie z tego obozu, dla którego człowiek z Piltdown stał się naprawdę kłopotliwą „zjawą", nie mieszczącą się w z góry ułożonej teorii.

Podrzucono więc Dawsonowi i Woodwardsowi -- czy ewentualnie oni sami to spreparowali —, jak chcą inni, sfałszowaną małpią szczękę, by w ten sposób nadać bardziej prymitywny wygląd znalezisku wyraźnie ludzkiej czaszki.

„...it had been established that, although the fragments of the cranium of Piltdown Man were genuine remains of primitive man, the mandible and canine tooth **on which the ape-like** appearance of Piltdown Man was based are deliberate fakes"(6). („...dowiedziono, że choć części czaszki człowieka z Piltdown są rzeczywistymi szczątkami człowieka pierwotnego, dolna szczęka i kły, nadające mu małpi wygląd, są z premedytacją dorobione.")

A więc jest jasne. Specjaliści orzekli, że komus jednak zależało na tym, by czaszkę ludzką upodobnić do małpy, a komu — mniejsza o nazwiska. Cnodziłoby tu tylko o stwierdzenie faktu.

Rozprawiwszy się w ten sposób, z dużo przynoszącą kłopotu w nauce szczęką, wyżej wspomnianni antropologowie zaatakowali też i wartość samej czaszki człowieka z Piltdown. Nie mogąc jednak ocalić tego wykopaliska wręcz, starają się przynajmniej pomniejszyć jego starożytne pochodzenie. Na podstawie badań zawartości fluoru oraz azotu Weinert, Le Gros Clark i Oakley orzekli, że człowiek z Piltdown mógłby pochodzić z czasów o wiele wcześniejszych aniżeli dotąd przypuszczano. W ten sposób „ta linia boczna", rzekomo przedwcześnie rozwinięta (précoce) została zlikwidowana. Człowiek z Piltdown zmieścił się znów w ramach teorii transformistów.

Trudno tu oczywiście zabierać jest głos skoro największe powagi naukowe wypowiedziały się w tej sprawie. „Magister dixit" — sądzą niektórzy, nie pozostaje więc nic innego jak przyjąć ich orzeczenie, tak jak to robi np. Ks. Prof. Kłósak(7), gorsząc się wielce, że jeszcze w r. 1951 — O. Krąpiec (8), a co gorsza w czerwcu 1954 roku Ks. Prof. Chojnacki(9), odważyli się podtrzymywać tezę o istnieniu „Homo sapiens" przed neandertalczykami, gdy tymczasem „już na konferencji agrobiologów, biologów i lekarzy w Kuźnicach (7.1.1951 i 13.1.1951), dowodzono, że wszystkie formy „Homo sapiens" dadzą się wyprowadzić od form neandertalskich"(10).

Bez ubliżania owej garstce agrobiologów, biologów i lekarzy wydaje się jednak, że w imię prawdy należy stwierdzić, że są przecież inni nie mniej zaawansowani w nauce, którzy na tę sprawę zupełnie inaczej się zapatrują. Nikomu to przecież nie uwłacza. W antropologii nie ma ani jednego wykopaliska, co do którego wszyscy byliby zgodni. „Eoanthropus Dawsoni" wcale nie jest falsyfikatem, jak podaje to czytelnikom „Tygodnika Powszechnego" ks. prof. Kłósak(11), a opinia Weinerta, Le Gros Clarka i Oakley'a co do daty jego pochodzenia jest **ich** opinią i nic więcej.

Dlaczego by ona miała przeważyć zdanie Woodwardsa, który był bliżej tego odkrycia, i którego kompetencjom naukowym nikt nie odważy się zaprzeczyć i dzisiaj?

Powoływanie się na eksperyment zawartości fluoru przecież nie daje żadnej rękojmi pewności. Nie jest to jakiś wymysł „amatora" antropologii, lecz zdanie jednego z najpoważniejszych ludzi nauki, prof. Vallois, ucznia Boule'a, obu zdeklarowanych transformistów. Okazało się bowiem, że dwa różne badania z fluorem dały też dwa różne wyniki. Który z nich więc jest prawdziwy? Oto co pisze na ten temat prof. Vallois:

„Les différences entre les chiffres données par les recherches de 1950 et ceux de 1953 sont telles, en effet, **qu'on a le droit de se demander, jusqu'à quel point on peut encore se fier à cette méthode.** Accueillie avec enthousiasme par les paléontologistes en raison de la preuve, supposée objective qu'elle paraissait fournir de l'ancienneté relative d'un os, voilà, qu'elle se relève brusquement beaucoup moins précise qu'on ne l'avait cru d'abord" (12). („Różnice pomiędzy cyfrowymi wynikami badań z roku 1950 a z roku 1953 są rzeczywiście takie, że ma się prawo postawić pytanie, jak dalece można jeszcze mieć zaufanie do tej metody. Przyjęta przez paleontologów z entuzjazmem ze względu na to, że — jak się wydawało — dostarczyła obiektywnego dowodu względnej starożytności jednej kości — okazuje się oto nagle o wiele mniej dokładna niż to można było dawniej podejrzewać.")

Podobnie sprawa przedstawia się z badaniem zawartości azotu. „Mais le dosage de l'azote — zapytuje prof. Vallois — offre-t-il toute sécurité?(13).

Widzimy więc z tego, że wszystkie podobne orzeczenia naukowe nie są jakimś niezmiennym twierdzeniem, lecz opinią obok innych także prawdopodobnych zdań. W tych sprawach nawet uczeni mogą się mylić. Wydaje się, że przyszłość przyniesie nam jeszcze inne rewelacje. Dlatego też nie trzeba się zbytnio entuzjazmować ani też popadać w pesymizm.

Zresztą, gdyby nawet opinia Weinerta, Le Gros Clarka i Oakley'a okazała się prawdziwą, że znalezisko w Piltdown nie jest tak starożytne jak się pierwotnie wydawało, przecież obecnie, dywersja zapoczątkowana przez odkrycia Eoanthropusa Dawsoni, jest potwierdzona przez wiele innych odkryć, a zwłaszcza człowieka z Swanscombe oraz człowieka z Fontéchevade, co do których, przynajmniej na razie, nikt nie wysuwa wątpliwości.

Wbrew temu, co twierdzi dla Kraju ks. prof. Kłósak, większość antropologów, nie księży amatorów, utrzymuje nadal hipotezę o istnieniu „Homo sapiens" daleko przed neandertalczykami, co zmusiło już dawno najzagorzalszych transformistów do porzucenia pierwotnie ułożonej linii rozwoju człowieka przez dwa zasadnicze człony, tzn. Pithecathropusa i Neanderthala. Odkrycia wyżej wspomniane dały podstawę do ułożenia nowej teorii o tzw. „phylum presapiens", to co Montandon(14) nazywa „Homo sapiens-protosapiens", niezależnego wcale od głównej linii rozwoju, a od którego miałby się wyprowadzać współczesny człowiek, a nie od neandertala, jak dotąd wierzono.

Opinia Weinerta, Le Gros Clarka i Oakley'a co do człowieka z P.ltdown nic w tym wcale nie zmienia, a odkrycie przez nich sfałszowanej szczęki wyświetla tylko tak zmąconą atmosferę. Dzięki ich pracom dziś się już wie na pewno, że czaszka człowieka z Piltdown jest czaszką ludzką, a nie małpoludzką, jak niektórzy ją chcieli zniekształcić. Poparta przez inne wykopaliska dowodzi wyraźnie, że nie ma żadnej sprzeczności, by przed neandertalczykami nie istniał prawdziwy „Homo sapiens", niweczące w ten sposób podstawową teorię transformizmu.

Zresztą nie kto inny tylko Boule (15), zdaklarowany transformista niedwuznacznie orzekł, że dzięki współczesnym odkryciom wiele danych przemawia za tym, że „Homo sapiens" mógł istnieć nawet nie tylko w początkach czwartego okresu biologicznego, lecz nawet w trzeciorzędzie.

Wszystko to są zdobycze współczesnej nauki, potwierdzające raz jeszcze, że mit transformizmu, ukuty z góry w dziewiętnastym stuleciu, postaje i nadal mitem.

Ks. Romuald Zaniewski

PRZYPISY

(1) Cf. Dawson Ch. and Smith Woodwards Arthur: On the Discovery of a Palaeolithic skull and Mandible... at Piltdown, in Quaterly Journal of the Geological Society, London 1913, t. 69, str. 117-151

(2) Zob. na ten temat opracowanie moje: Zaniewski Romuald (Ks.): Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański, Londyn, Veritas 1953, str. 128 i następne.

(3) Ibidem: str. 131 i następne.

(4) Zob. na przykład Boule M.: La paelontologie humaine en Angleterre, dans l'Anthropologie, 1915.

(5) The Solution of the Piltdown Problem, in Bulletin of the British Museum of Natural History, Geology, vol. 2, nr 3, London 1953.

(6) Ibidem (podkreślenia nasze).

(7) Ks. Klósak Kazimierz: Katolicka myśl filozoficzna w Polsce ludowej, „Tygodnik Powszechny", 22. VII. 1954, str. 6.

(8) Opierając się zresztą na pracy Wilhelma Koppera: Der Urmensch und sein Weltbild, Wiedeń 1949.

(9) Chojnacki Piotr, Ks. O pochodzeniu człowieka, ‚Tygodnik Powszechny", Kraków 20.6.1954. Przedrukowany prawie dosłownie przez „Narodowca" w Lens, 8 i 9 sierpnia 1954 r.

(10) Op. Cit.

(11) Ibidem.

(12) Vallois V.: La solution de l'énigme de Piltdown, dans l'Anthropologie, t. 57. Nr 5 i 6, str. 566. (podkreślenia nasze)

(13) Ibidem.

(14) Montandon G.: L'Homme prehistorique et le pré-humain, Paris 1943, str. 225.

(15) Boule, M.: Les hommes fossiles, Paris, 1946, wyd. III, str. 129-130.

Pismo Francuskich Progresistów na indeksie

Wychodzący w Paryżu dwutygodnik, podający się za katolicki, „La Quinzaine" został umieszczony na Indeksie Książek Zakazanych. Przyczynę tego, potwierdzonego, jak zawsze w takich wypadkach, przez Papieża dekretu św. Kongregacji św. Oficjum wyjaśnia „Osservatore Romano" w artykule wstępnym z 5 lutego, powołując się na swój artykuł w tym względzie w numerze z 31 marca 1954 roku.

W listopadzie 1952 zebranie kardynałów i biskupów francuskich ostrzegło po raz drugi katolików przed kierowaniem się dyrektywami wspomnianego dwutygodnika. Gdy to nie pomogło, toż samo zebranie w dniu 11 marca 1954 r. w sposób jeszcze bardziej wyraźny zwróciło uwagę katolików na niebezpieczeństwo lektury pisma „La Quinzaine" i potępiło je za postawę wobec Kościoła i Hierarchii. Na to „La Quinzaine" w numerze z 15 marca wyraziła żal, że nawet Episkopat nie rozumie prawdziwych intencyj pisma i twierdziła, że opiera się na słowach Papieża o konieczności opinii publicznej w obrębie Kościoła. Tu trzeba podkreślić, że „La Quinzaine" nie uwzględnia granic obowiązujących w zakresie „spraw pozostawionych wolnej dyskusji" w Kościele. Dwutygodnik ograniczyć chciałby kompetencję Kościoła do dziedziny czysto doktrynalnej, zapominając o tym, że Papieże i Biskupi mają prawo wydawania decyzji obowiązujących wiernych.

W czym błądzi „La Quinzaine"?

1) Pismo często zajmuje się problemem współpracy katolików i komunistów, nie zwracając uwagi na dyrektywy Stolicy Apostolskiej, określone jasno w encyklice przeciw komunizmowi „Divini Redemptoris" Piusa XI z 19 marca 1937, w dekrecie św. Oficjum z 1 lipca 1949, który zabrania nie tylko przynależności do bezbożnego komunizmu, ale także jakiejkolwiek działalności popierającej go, i w wyjaśnieniu tegoż dekretu przez samego Piusa XII w jego przemówieniu radiowym z 4 września 1949 r.

2) „La Quinzaine" zdając sobie sprawę z faktu, że walka klas jest wykorzystywana przez komunistów celem wprowadzenia dyktatury proletariatu, nie zaprzestaje mimo to popierania walki klas i wzywania katolików do zaangażowania się w nią, w imię obrony robotników. „La Quinzaine" nie kieruje się w tym zakresie społeczną nauką Kościoła i jego stanowiskiem wobec walki klas. Stolica Apostolska docenia bez wątpienia prawo wszystkich, a więc i robotników do jednoczenia się w imię obrony swych interesów wszelkimi godziwymi środkami, ale musi potępić i potępia walkę klas jako przeciwną naturze i zasadom chrześcijaństwa.

3) Tendencje prokomunistyczne czy filokomunistyczne pisma „La Quinzaine" objawiają się w tym, że dwutygodnik ten dąży do angażowania katolików we wszystkie inicjatywy komunistów na polu syndykalnym, w podejrzanym tak zwanym ruchu pokoju, i w wybielaniu komunizmu jako nieodpowiedzialnego za prześladowania Kościoła w krajach za żelazną kurtyną itp. Jak stwierdził kardynał Saliège, wygląda to tak jakby istniała zgrana akcja dążąca do przygotowania przyjęcia komunizmu w łonie katolicyzmu, przy czym jedni są świadomi tego celu, inni popierają go nie zdając sobie sprawy. Katolicy mają jednak możność uniknięcia tego niezdawania sobie sprawy, ponieważ mają jasne wskazania Stolicy Apostolskiej i Episkopatu.

4) „La Quinzaine" od lat ignoruje naukę społeczną Kościoła, uważając ją za nieistniejącą lub przynajmniej nieskuteczną. I to jest przyczyną, że „La Quinzaine" nie kierując się wskazaniami Papieży i opracowaną szczegółowo nauką społeczną Kościoła, zeszła na manowce.

5) „LaQuinzaine" także w sprawie problemu „księży-robotników" zajmowała stanowisko niegodne pisma katolickiego, za jakie się podaje, i gotowa była i w tej sprawie dawać nauki Biskupom i nawet Papieżowi.

Nic więc dziwnego, że Kościół katolicki, wykazawszy przez kilka lat matczyną cierpliwość w stosunku do „La Quinzaine", ostrzegłszy kilkakrotnie zarówno pismo, jak i ogół katolików przed tym pismem, musiał ostatecznie sięgnąć do dalszego środka i umieścił pismo na Indeksie Książek Zakazanych, wskazując w ten sposób jeszcze raz na szkodliwość ruchów wśród katolików, które przez postępowanie niezgodne z dyrektywami Kościoła osłabiają front katolicyzmu w zmaganiach z komunizmem.

W. F.

OSTATNIE EGZEMPLARZE NA SKŁADZIE!
KALENDARZ RODZINY POLSKIEJ
można jeszcze przez pewien czas nabywać
po cenie 7/6 + 6 d. za przesyłkę
W KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS"

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NOWE ODKRYCIE W NINIWIE.

W starożytnym mieście Niniwie, wspomnianym także w Biblii, stolicy potężnego imperium assyryjskiego zniszczonego w końcu VII wieku przed nar. Chr., dokonano nowego ważnego odkrycia. Znaleziono mianowicie „sprawozdanie wojenne" sprzed 2.600 lat. Jak przypuszczają archeologowie, mowi ono o wojnach, toczonych przez Esar-Haddona, jednego z ostatnich królów Assyrii, ktorzy sali jeszcze potrach wsrod sąsiednich ludow. Pokonał on wielu królow azjatyckich — nie wyłączając żydowskich władców Palestyny — i stał w latach 675-669 przed nar. Chr. na czele dwoch wielkich armii, ktore najechały Egipt. On to właśnie zniszczył Memfis i odbudował Babilon.

Ekspedycja iracka (ruiny Niniwy położone są na terenie królestwa Iraku) wykopała graniastosłup, pokryty napisami w alfabecie assyryjskim („cuneiformistycznym"). Graniastosłup ten znaleziono w Tel Nabi Yunis (na peryferiach dawnej Niniwy), gdzie miał się znajdować grob proroka Jonasza.

Tekst napisów nie został jeszcze w całości odczytany. Przypuszcza się, że opisują one czyny wojenne króla Esar-Haddona w Egipcie i Fenicji i zawierają dane o licznych świątyniach i pałacach, które zbudował w różnych miejscach swego rozległego imperium.

TAJEMNICA ŚMIERCI STEFANA ZWEIGA. W lutym 1942 r. w Petropolis, tuż koło Rio de Janeiro, ogrodnik, ktory wszedł do domu, znalazł leżące na łożku zwłoki pisarza austriackiego Stefana Zweiga i jego żony. Oboje, poczyniwszy drobiazgowe przygotowania, popełnili samobojstwo przez użycie środkow nasennych.

Zweig liczył w chwili śmierci 60 lat. Pisarz francuski Jules Romains, który z nim był w bliskich stosunkach, próbuje w ostatnim zeszycie „La Revue de Paris" wyjaśnić tło psychiczne samobójstwa.

Stefan Zwieg, który mieszkał stale w Wiedniu, z chwilą, gdy zbliżał się „Anschluss" Austrii do hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, postanowił — jak tylu innych pisarzy pochodzenia żydowskiego — udać się za granicę. Próbował najpierw stworzyć sobie nową egzystencję w Anglii, później w Stanach Zjednoczonych — wreszcie po wielu zawodach osiedlił się w Brazylii. I tu jednak — jak wynika z listów jego pisanych do Romainsa — nie potrafił się psychicznie zakorzenić.

„Mój kryzys wewnętrzny — pisał — polega na tym, że nie potrafię utożsamić się z samym sobą, opisanym w paszporcie, przeowiającym na wygnaniu... czuję się jak Koriolan nienawidzący kraju, w którego języku pisze i mówi, jak istota nigdzie nie posiadająca żadnych praw, jak nagromadzenie sprzeczności, które zastąpiły dawną harmonię."

A na cztery dni przed popełnieniem samobojstwa pisał:

„Jestem starszy o kilka lat od Ciebie i, skoro te lata ubiegłe tak były brzemienne niepokojem, pytam się często siebie, gdzie znaleźć źródło młodości. Wszystko, czego potrafiłem dokonać, zawdzięczam pewnemu rozpędowi (élan) wewnętrznemu, którego nabierałem, ponieważ sam mu ulegałem, i to wytwarzało udzielające się wewnątrz ciepło. Pozbawiony wiary, pozbawiony entuzjazmu, zaopatrzony jedynie w swój mózg, chodzę jakby o kulach."

Załamanie się wewnętrzne Zweiga spowodwane zostało — zdaniem „Figaro Littéraire" — nie tylko poczuciem nieznośnego odosobnienia, ale także świadomością niezdolności tworzenia. Wydaje się jednak, że dwie te rzeczy pozostają ze sobą w ścisłym związku. Każdy wygnaniec ze swego kraju jest fizycznie „déraciné" (by użyć znanego określenia Barrèsa). Pociągać to musi za sobą także zmiany w jego sferze psychicznej. Ale wygnaniec, który zachował ścisły związek z tradycjami swego kraju i życiem jego społeczeństwa i który wsparty jest o wiarę w ponadnaturalny sens swego istnienia — nie będzie się nigdy czuł całkowicie „déraciné" duchowo.

Nie miał tego w sobie Zweig i stąd zabrakło mu tego wewnętrznego „elanu" i ciepła, niezbędnego nie tylko do twórczości, ale u jednostek szczególnie wrażliwych nawet do zachowania woli życia.

HAMLET BURŻUAZYJNY I PROLETARIACKI. Po raz pierwszy od dwudziestu lat w Moskwie wystawiono znów szekspirowskiego „Hamleta". W „Prawdzie" ukazała się recenzja z przedstawienia, w której czytamy:

„Najwspanialsza tragedia Szekspira, tak długo fałszowana przez sztukę burżuazyjną, dawana jest obecnie w teatrze im. Majakowskiego. Nowa inscenizacja ukazuje Hamleta w samym centrum walki o kulturę świata. Będąc łącznikiem zasadniczym w tej walce potwierdza on raz jeszcze niezawodną prawdę, że tylko postępowa ideologia może zachowywać i mnożyć wartości duchowe geniuszu ludowego."

Przytaczając te zdania felietonista „Sunday Timesa", Atticus, wspomina z melancholią inne moskiewskie przedstawienie „Hamleta", które odbyło się 45 lat temu w inscenizacji i reżyserii Stanisławskiego i Gordona Craiga. Stało się ono wówczas wydarzeniem kulturalnym w życiu całego świata.

TADEUSZ FELSZTYN

NAUKOWY HUMANIZM (II)

Oczywiście tertium comparationis można znaleźć do wszystkiego. Można by nawet twierdzić, że anioł i szatan to jedno, bo są to czyste duchy.

Zasadą klasyfikacji jednak nie mogą być drugorzędne cechy przypadkowe, ale cechy zasadnicze, decydujące o samej istocie zjawiska.

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzeć na komunizm i wszelkie scientyzmy, humanistyczne, czy też nie, nie ulega wątpliwości, że wspólna ich cecha, to uznawanie jedynie rozumu ludzkiego za najwyższe kryterium „prawdy" i uznawanie za byt rzeczywisty tego jedynie, co da się zmierzyć, zważyć, dotknąć, zaobserwować jako zjawisko powtarzalne, podlegające jakiejś regularności. Wszystko inne, zarówno komunizm, jak i scientyzm a priori odrzuca. W tym sensie należy stwierdzić, że każdy scientyzm jest materialistyczny, choć pani Knight mocno się przeciw temu zastrzega. Materializm jest bowiem obecnie mocno niepopularny nawet wśród tych, którzy na świecie poza materią (w najogólniejszym tego słowa znaczeniu) i jej przejawami niczego widzieć nie chcą.

Jeśli zaś chodzi o „dogmatyzm", to bez odrobiny dogmatyzmu żadna nauka nie jest możliwa. Ostatecznie, jeśli w ogóle mówimy o prawach rządzących przyrodą, to musimy a priori, a więc dogmatycznie, założyć, że prawa takie istnieją. Jeśli bowiem ma to być tylko wynikiem dotychczasowego doświadczenia, to doświadczenie to mówi o tym, co ongiś było, a nie o tym co będzie. A w takim razie nie jesteśmy lepsi od kury, którą doświadczenie nauczyło, że wołający ją głos gospodyni oznacza ziarno, jakie otrzyma. Wiemy jednak doskonale, że nie jest to „niezmienne prawo przyrody", skoro kiedyś ten sam głos oznaczać będzie dla niej ukręcenie kraku. Podobnie dogmatyczne jest przypuszczenie, że umysł ludzki potrafi wyciągnąć logiczne wnioski z pewnego szeregu założeń, przy pomocy pewnych metod, przypuszczenie — nawiasem mówiąc — trudne do pogodzenia z tezą epifenomenalizmu (całkowita identyczność myśli ludzkiej z fizyko-chemicznymi zmianami zachodzącymi w mózgu człowieka). Podobnie podstawowym dogmatem każdej nauki jest założenie, że istnieć może układ logicznie niesprzeczny, że prawa przyrody są proste i że sprowadzić się dają do jakiejś jedności, że w ogóle to, co obserwujemy, odpowiada jakiejś rzeczywistości poza nami, a nie jest tylko złudzeniem naszych zmysłów itd.

Twierdzenie więc pani Knight, że cientyzm, w przeciwieństwie do religii, operuje jedynie hipotezami, które można nieustannie sprawdzać i odrzucać, aby zastąpić je innymi, a nie niezmiennymi prawdami, w które należy wierzyć, świadczy tylko o tym, że ów osobliwy profesor filozofii nigdy nie czytał niczego z zakresu epistemologii. Scientyzm bowiem, jak każda próba uporządkowania otaczającej nas zmienności zjawisk i poszukiwania leżącej pod nią jedności, musi wyjść z pewnych założeń apriorycznych, z pewnych więc dogmatów. Cała różnica polega jedynie na tym, że religia dogmaty swe opiera na autorytecie Boga, podczas gdy odrzucenie Boga sprowadza dogmaty te do zupełnie dowolnych założeń, w które właściwie nie wiadomo dlaczego należy wierzyć. Nie należy się więc dziwić, że w odczycie swym pani Knight z ciężkim westchnieniem stwierdziła, iż „ostateczne pytania są tak przeraźliwie trudne do odpowiedzi". Choć i to westchnienie jest typowym angielskim „understatement": bez Boga bowiem na pytania te w ogóle odpowiedzieć nie można.

Ale dogmatyzm scientystów nie ogranicza się jedynie do założeń podstawowych. Przebija on na każdym kroku ich działalności. Najlepszym tego przykładem jest sama pani Knight. I tak np. w listopadzie 1950 roku, w artykule „Theoretical Implications of Telepathy", mówiąc o słynnych doświadczeniach Soala i innych, w których badany osobnik odgadywał zjawiska przyszłe, pisze ona dosłownie, że „zdają się one gwałcić podstawowe założenia nauk przyrodniczych" i na tej podstawie, choć ich całkiem nie odrzuca, tym nie mniej żąda ona jak najdalej posuniętej ostrożności w ich traktowaniu. Czyż to nie typowo dogmatyczne stanowisko? Fakty są sprzeczne z moimi dogmatami, tym gorzej dla faktów!

Drugi przykład warto może zacytować szerzej. Pani Morton, broniąc religii w BBC, w dyrekcji z panią Knight, powiedziała: „Wydaje mi się, że obecne poglądy naukowe znacznie bardziej ułatwiają myślenie po chrześcijańsku, niż to było za czasów naszych dziadków"...

Pani Knight: „...nowoczesna fizyka ...najwyżej w pewnej mierze sprzyja poglądowi, że poza światem materialnym istnieje jakaś rzeczywistość duchowa, i ja nie mam nic przeciw temu."

Pani Morton: „Ale to nie jest pani własny pogląd?"

Pani Knight: „Nie, to nie jest mój własny pogląd, ale ja nie sprzeciwiam się (I have no quarrel) osobom, które tak myślą, tak długo, jak długo one nie twierdzą, że owa rzeczywistość duchowa jest wszechmogąca, wszechwiedząca i tak dalej."

A więc pani Knight przyznaje, że pogląd o istnieniu rzeczywistości duchowej poza rzeczywistością materialną nie stoi w sprzeczności z dzisiejszym poglądem przyrodniczym. We wspomnianej poprzednio pracy o telepatii przyznaje ona również, że tłumaczenie telepatii przy pomocy zjawisk materialnych (to znaczy czasowych i przestrzennych) jest w najlepszym razie tylko aktem wiary. Istnieją więc fakty, które hipoteza istnienia świata duchowego lepiej tłumaczy, niż jej odrzucenie. W naukach przyrodniczych nie ma niczego, jak to pani Knight również przyznaje, co by było z tą hipotezą w sprzeczności. Ale mimo tego pani Knight w nią nie wierzy. Czyż to nie typowy dogmatyzm?

Dalej, pani Knight ostatecznie może się pogodzić z istnieniem świata pozazmysłowego, pozamaterialnego, ale pod warunkiem, że prawa tym światem rządzące będą ograniczone postulatami, które ona a priori, nie wiadomo dlaczego, stawia. Jeśli to nie jest dogmatyzm, to co jest dogmatyzmem?

Inny przykład. Pani Knight bynajmniej nie odrzuca wszystkiego w nauce religii. Broń Boże! Uczmy dzieci, powiada, że Stary i Nowy Testament, to takie same legendy, jak mitologia grecka. Istniał rzeczywisty Jezus, który nauczał Żydów i został ukrzyżowany, ale powiedzmy im, że nie wierzymy w to, iż był On Synem Bożym, że zmartwychwstał, iż był synem Dziewicy.

Jak słusznie to podkreślił „Tablet", jakie właściwie kryterium naukowe pozwala na uznanie Ukrzyżowania, a odrzucenie Zmartwychwstania? Naukowe badania faktu historycznego polega na badaniu wiarogodnosci jego swiadkow na tle dawnych okolicznosci, a nie na odrzucaniu faktu dlatego tylko, że nie umiem go wytłumaczyć przy pomocy metod, jakie mój dział nauki stosuje. Czyż sprzeczność wykrytych przez Marię Curie Skłodowską zjawisk promieniotwórczych z „podstawowymi prawami chemii" mogła być argumentem, aby „w fakty te nie wierzyć"?

I ta postawa dogmatyczna, odrzucania niewątpliwych faktów, ponieważ nie mieszczą się one w ramach moich ram myślowych, jest niesłychanie typową dla wszystkich scientystów. Czymże bowiem innym jest odrzucanie objawień w Lourdes i Fatimie, pomimo iż tysiące wiarogodnych świadków je potwierdza, mimo iż w Fatimie istnieje nawet taki, sugestii przecież nie podlegający, świadek, jak klisza fotograficzna?

Podobnie bezzasadne odrzucanie wszystkich nie podlegających przecież wątpliwości faktów cudownych uzdrowień w Lourdes, faktów stwierdzonych przez najbardziej autorytatywne świadectwa lekarskie, czyż to nie najbardziej dogmatyczne stanowisko „naukowców": „nie zgadza się z moimi teoriami, a więc nie istnieje".

Trzeba stanowczo stwierdzić, że — w przeciwieństwie do bezreligijnego scientyzmu, który a priori odrzuca fakty, sprzeczne z materialistycznymi dogmatami owych „naukowców" — Kościół katolicki nigdy nie odrzuca żadnego **faktu**, choć niewątpliwie nieraz bardzo ostrożnie odnosi się do tych, czy też innych, nawet, a raczej zwłaszcza, do tych, które potwierdzają jego własne nauki. Tak było w Fatimie, tak było w Lourdes.

Kościół więc nie odrzucił jeszcze nigdy żadnego **faktu**. Owszem, tu i ówdzie Kościół odrzuca pewne wnioski, jakie się z tych faktów wyciąga, wtedy, gdy wnioski te są oparte nie tylko o fakty, ale również i o przesłanki, zaczerpnięte z fałszywej filozofii, gdy więc do faktów dodaje się obce im zupełnie elementy, z faktami samymi nic wspólnego nie mające. Faktów jednak i wniosków, ściśle o fakty te opartych, Kościół nigdy nie odrzuca.

Jeśli więc zgodzimy się, że celem nauki jest zbieranie faktów, łączenie ich ze sobą i szukanie związków między nimi, to stanowisko Kościoła jest stanowczo bardziej naukowe, niż nieustannie na „naukę" powołujących się sientystów. Kościół bowiem nie odrzuca **żadnego** faktu, a w poszukiwaniu związków między nimi nie cofa się przed wnioskiem podstawowym, początku i źródła wszystkich bytów, czego scientyści starannie unikają.

Jak więc widać, ta część pogadanek pani Knight, która ostrzem swym skierowała się przeciw religii, oparta była na zupełnym niezrozumieniu przez prelegentkę, co to jest religia, na zupełnej nieznajomości jej nauki, a nieraz nawet na całkowitej ignorancji.

Pomimo więc całej szkody, jaką jej prelekcje wyrządziły szerokim rzeszom ludzi, którzy — nie mając dostatecznego wykształcenia religijnego i ulegając magii słowa „nauka" — mogli naprawdę sądzić, że religia i nauka to dwie rzeczy nie do pogodzenia, niewątpliwie jednak prelekcje te przyniosły i pewną korzyść, wykazując na jak nikłych, zawodnych, błędnych przesłankach oparte są wszelkie wycieczki antyreligijne „naukowców". Oczywiście, nie powinniśmy powtarzać błędu pani Knight i uważać, że **ona** jest najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku. Są i przedstawiciele inni, znacznie bardziej wykształceni, operujący argumentami przeciwreligijnymi znacznie zręczniej. Tym niemniej jednak ich argumenty, jeśli im się dokładnie przyjrzeć, są tylko wariantami tego, co pani Knight wyśpiewała, zręczniejszym, bardziej powiedziałbym subtelnym, zawoalowanym przedstawieniem tego samego zasadniczego tonu. Toteż prelekcja pani Knight, która wszystkie argumenty przeciwników religii podała w ich zasadniczej, choć najbardziej prymitywnej i naiwnej redakcji, wyjawiła, ad oculos całą nicość tego kierunku. I za to należy się jej wdzięczność.

I cóż przeciwstawiła ona religii? „Naukowy humanizm", który nie jest ani naukowy, skoro odrzuca a priori obszerne dziedziny doświadczenia ludzkiego i niezaprzeczalnych faktów, ani też nie jest „humanizmem", skoro — zaprzeczając duchowej stronie człowieka — pozbawia go całej jego wartości, całego sensu jego istnienia, całej jego nadziei.

Toteż, choćby nie wiedzieć ile razy pani Knight i jej podobni „humaniści" powtarzali, że celem ich jest „szczęście człowieka na ziemi", wielokrotne smutne doświadczenia wskazują, że ktokolwiek stara się oprzeć szczęście człowieka w oderwaniu od Boga, w rezultacie, zamiast obiecywanego raju, gotuje mu piekło.

Tadeusz Felsztyn

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Badania statutów synodalnych. W oparciu o centrum narodowe badań naukowych Stowarzyszenie Historii Kościoła we Francji powołało komisję dla studiów statutów synodalnych francuskich. Dotychczas zinwentaryzowano 3.000 dokumentow. Jak wiadomo, statuty synodalne są poważnym źrodłem historycznym, mimo to nie zostały dotychczas odpowiednio wykorzystane w badaniach naukowych. Jeśli chodzi o statuty synodalne francuskie, to wydawanie tych statutów rozpoczęli benedyktyni z opactwa Saint-Maur; pracę tę przerwała rewolucja z roku 1789. Po rewolucji, kardynał Fesch, stryj Napoleona, nabył część tych statutów i oddał do Biblioteki Watykańskiej.

Papież o problemie winy i kary. Z powodu choroby, Papież nie mogł wygłosić przemówienia w grudniu do VI Zjazdu Naukowego Studium Unii Katolickich Prawników Włoskich. Otrzymali oni jednak przemówienie w druku. Ze względu na problem wymagający obszernego omowienia, Papież potraktował przemowienie jako dwa przemówienia; pierwsze wręczono 5 grudnia, drugie przesłano 5 lutego. Przemówienia omawiają: drogę człowieka ze stanu niewinnosci przez fakt winy do stanu winy i kary (reatus culpae et poenae) i w trzeciej części, obecnie doręczonej, powrot z tego stanu przez żal i wynagrodzenie, do stanu uwolnienia od winy i kary. W trzeciej części Papież poruszył także problem wiekuistej, niekończącej się nigdy kary w piekle.

Nowe opracowanie życiorysów Świętych i Błogosławionych. Benedyktyni paryscy wydają obliczone na 13 tomow życiorysy Świętych i Błogosławionych. Ukazał się tom XI za miesiąc listopad (cena 2.000 franków). W opracowywaniu życiorysów autorzy unikają zarowno lęku przed nadprzyrodzonoscią, jak i przeliczytowywania się w cudownościach.

Z dziejów opieki duchownej nad emigrantami włoskimi. Diecezja Piacenza i wiele miejscowosci na całym świecie przygotowuje się do uczczenia w czerwcu 50-letniej rocznicy zgonu biskupa Piacenzy Scalabrini, który był założycielem Stowarzyszenia Misjonarzy św. Karola dla emigrantów włoskich, zwanego w skrócie skalabrynianie. Celem stowarzyszenia jest pomoc dla Włochów: emigrantów i w ogóle mieszkających poza swym krajem. Stowarzyszenie powstało w 1887 roku; liczy obecnie 150 siedzib misji wraz z kościołami, szkołami, szpitalami, urzędami pomocy, ośrodkami kulturalnymi, w głównych krajach emigracji włoskiej, a więc w Anglii, Argentynie, Australii, Belgii, Brazylii, Chile, Francji, Kanadzie, Luksemburgu, Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii. Główne uroczystości ku uczczeniu biskupa Scalabrini'ego odbędą się w dniach 1-5 czerwca w Piacenza, dokąd przybędą uczeni zajmujący się problemem emigracji, parlamentarzyści i członkowie zgromadzenia skalabrynian.

„OSSERVATORE ROMANO" O

AKADEMII NA BIELANACH

W numerze z 20 stycznia „L'Osservatore Romano" zamieścił artykuł pod tytułem „L'Accademia di Bielany". Podajemy artykuł ten w tłumaczeniu.

20 listopada 1954, na Bielanach pod Warszawą, została otwarta „Akademia teologii katolickiej", założona z woli komunistycznej.

Obecne były wybitne osobistości, wśród nich p. Lech z ministerstwa wyższego nauczania i p. Siemek z dobrze znanego urzędu dla spraw religijnych, które to urzędy są odpowiedzialne za postępujące stale tłumienie Kościoła katolickiego w Polsce.

W ten sposób, przez ceremonię złowróżbnie inauguracyjną, zostały odprawione egzekwie nad dawnymi wydziałami teologicznymi Warszawy i Krakowa, zniesionymi ostatnio z woli reżymu żądnego wygnać „przesądy antynaukowe" z ośrodków uniwersyteckich, poświęconych już „prawdziwej wiedzy" marksistowskiej i leninowskiej.

Kiedy mówiliśmy o tym zniesieniu, zwrócono nam uwagę, że obydwa wydziały nie zostały zlikwidowane a wręcz przeciwnie, że będą one raczej miały możność rozszerzać się bardziej, jako że zostały zjednoczone w osobnym instytucie kościelnym, na którego czele stoi kapłan. I rzeczywiście, do kierowania Akademią, powstałą pod auspicjami i opieką urzędu dla spraw religijnych, wybrano jednego z najbardziej znanych kolaboracjonistów komunistycznych, owego ks. Czuja, który jest przewodniczącym „Komisji działaczy katolickich — duchownych i świeckich — przy Komitecie głównym Frontu Narodowego". Chodzi jak wiadomo, o „ruch podstawowy", który przyjął za zadanie wywarcie przymusu na katolików w kierunku, jakiego sobie życzą władcy komunistyczni. Ks. Czyj, do wielu zasług, które zjednały mu względy reżymu, zalicza też zeznanie swoje przeciw J. E. biskupowi Kaczmarkowi, skazanemu we wrześniu 1953, po zwykłych „pokajaniach" wymuszonych na nim przez komunistyczny oddział śledczy. Kardynał Wyszyński w imieniu biskupów zaprotestował przeciw tendencyjności procesu, do którego usiłowano wciągnąć, oprócz biskupa kieleckiego także i Stolicę Świętą, zmarłych kardynałów Hlonda i Sapiehę, i samą wierność Kościoła swemu mandatowi; ponieważ Kard. Wyszyński odmówił wycofania protestu, został usunięty z Warszawy siłą i internowany w miejscu dotąd nieznanym. Ks. Czuj, przed trybunałem, rozwodził się nad „przestępstwem" w ubolewaniach najoczywiscej obłudnych (obliquamente ipocrite), nie czyniąc żadnych zastrzeżeń, przyjmując za prawdziwe „wyznanie" biskupa Kaczmarka. Dziś widzimy go dlatego na czele Akademii Teologicznej, ze wszystkimi namaszczeniami władz komunistycznych.

Rektor nowego instytutu udzielił wywiadów tygodnikowi „Dziś i Jutro" i dziennikowi „Słowo Powszechne" — (obydwa organy postępowe) — celem wyjaśnienia, że Akademia została założona przez państwo; jej statut jest zaaprobowany przez ministerstwo wyższych studiów i „przez właściwe władze kościelne". Te ostatnie miały udzielić misji kanonicznej profesorom, których nazwiska nie są zresztą znane.

Wystarczy przypomnieć okoliczności i osobistości, by zrozumieć sens „reformy" studiów duchownych. „Demokracje ludowe", a w szczególności ta, która włada katolicką Polską, czynią wysiłki już od lat, by stoczyć od wewnątrz katolicyzm. Kto patrzy z zewnątrz nie troszcząc się zbytnio o szczegóły, może sądzić, że sytuacja jest znośna. Należy poznać w związku z tym niedawny artykuł w tygodniku „Epoka", wart wzmianki, z powodu jego niezwykłej powierzchowności. A tymczasem zabiega się o to, by uszła uwagi nieustanna praca termitów, które starają się przetworzyć jędrny pień w pustą korę przeznaczoną do rozsypania się pod najlżejszym uderzeniem.

Akademia Czuja — która nie jest uniwersytetem — oznacza, przez sam fakt jej założenia, nowy etap w tej pracy rozkładu. Przy jej pomocy kierownicy komunistyczni liczą na możność opanowania w ciągu kilku lat całego młodego duchowieństwa polskiego, które ma stać się narzędziem rządu i kontroli nad tymi, co zechcą jeszcze trwać uparcie przy wierze.

Bielany są doświadczalną szkółką „kiełków kościelnych" dla użytku, jaki zechcą z nich uczynić jutro ich panowie.

BAMBUSOWE KATAKUMBY

Porozumienie, podpisane 21 lipca r. ub. w Genewie, powstrzymało na pewien czas zwycięski pochód wojsk Wiet-Minhu w głąb Indochin, lecz postawiło rząd południowego Wietnamu i mocarstwa zachodnie wobec szeregu skomplikowanych zagadnień, wśród których zagadnienie uchodźców z północy nabrało nieprzewidzianych i niepokojących rozmiarów. Do końca stycznia 613.000 ludzi przekroczyło 17 równoleżnik, czyli linię demarkacyjną między komunistyczną a wolną częścią Wietnamu; liczba ich znacznie wzrośnie po opuszczeniu przez Francuzów enklawy Haifongu, co ma nastąpić ostatecznie w maju rb. W ten sposób miliony ludzi oderwanych od swej ziemi w wyniku wojny i powojennej dyplomacji zostają pomnożone o nowe setki tysięcy.

Wśród tych uchodźców są buddyści i ludzie bez określonej religii, trafiają się nawet dywersanci Wietminhu, lecz ogromną ich większość stanowią katolicy z obszaru delty Rzeki Czerwonej a także z północnych prowincji opanowanych od dawna już przez komunistów. Rząd południowego Wietnamu, łącznie z rządami Stanów Zjednoczonych, Francji, Australii i innych krajów, stara się przyjść uchodźcom z pomocą; pomoc dla nich organizują też, z inicjatywy duchowieństwa, katolicy francuscy i angielscy, lecz na razie jest ona niedostateczna. Mniej niż trzecią część uchodźców osiedlono na polach ryżowych delty Mekongu i w południowym Annamie; reszta przebywa nadal w obozach w rejonie Saigonu. Chorują oni na beri-beri i malarię; wysiłki międzynarodowego Czerwonego Krzyża nie zdołały im zapewnić skutecznej pomocy lekarskiej.

Tak wyglądają cyfry i fakty. O przeżyciach tych tysięcy uciekinierów spod komunistycznego jarzma opowiada w paryskim „La Croix" wysłannik arcybiskupa Paryża, kardynała Feltin, Mgr. Rodhain. Przemierzył on, przeważnie pieszo, obozy i miejsca osiedlenia uchodźców, oglądał niekończące się karawany ludzi ciągnących z resztkami swego dobytku na południe; widział wśród nich przeszło stuletnich starców. Wielki napływ uchodźców z północy — mówi Mgr. Rodhain — był zjawiskiem nieoczekiwanym i nieprzewidzianym. Znawcy tego kraju podkreślali stale zrośnięcie się jego ludności z ziemią, przywiązanie do grobów rodzinnych, do wsi i pól ryżowych. Nikt sobie nie wyobrażał, że przeszło 600 tysięcy ludzi, chroniąc się przed prześladowaniami, rzuci to wszystko i ruszy w nieznane. I w jakich warunkach? Aby się udać na południe, trzeba uzyskać od władz komunistycznych przepustkę w miejscu swego stałego pobytu; przepustki, wbrew warunkom rozejmu, wydaje się skąpo, wymaga się dowodu opłacenia podatków i świadectwa prawomyślności. Aresztowania są na porządku dziennym, nierzadkie są też krwawe incydenty. „La Croix" donosi o starciach między ludnością katolicką południowego Annamu a komunistami. W jednym z tych starć padło 16 ofiar, w tym dwie zakopane żywcem przez komunistów, było też wielu rannych; w innym, w prowincji Ha-Tin, liczba ofiar była znacznie większa. Nie są to wypadki odosobnione. W miarę umacniania się Wietminhu w opanowanych prowincjach prześladowania religijne rosną.

Międzynarodowa Komisja Nadzorcza zachowuje się biernie, a zmuszona do działania, czyni to późno i ospale. Nie można się temu dziwić, gdy się zważy, że w skład jej wchodzi, obok przedstawicieli Indii i Kanady, przedstawiciel administracji warszawskiej.

Ludność katolicka ucieka więc po prostu nielegalnie, nocami, najczęściej drogą wodną, na zbudowanych własnoręcznie bambusowych tratwach. Uciekinierzy nie mają żadnego obycia z żeglugą, wielu z nich tonie. Wszystko co mogą zabrać ze sobą — to trochę ryżu i odzieży. A jednak — mówi Mgr. Rodhain — na każdej tratwie znajdowało się miejsce na świętą figurę z rodzinnego kościoła, a na niektórych nawet na zdjęty z opuszczonej dzwonnicy dzwon kościelny.

Wzruszająca jest religijność tych ludzi. Poprzednie parafie grupują się nadal wokół swego duchowieństwa, a obozy otrzymują nazwy tych parafii, jak obóz św. Józefa, obóz św. Rodziny itd. W obozach powstają kaplice, wybudowane z trzciny bambusowej, naśladujące w miarę możności fasady rodzinnych kościołów; na bambusowych rusztowaniach zawisają wywiezione z narażeniem życia dzwony. O 5-ej z rana obozy pustoszeją: wszyscy udają się na Mszę poranną.

Mgr. Rodhain niepokoi możliwość starć uchodźców z ludnością tubylczą. Ludność ta, uprawiająca w pocie czoła swe drobne pola ryżowe, patrzy z niechęcią na bezpłatne przydziały ziemi tysiącom przybyszów. Lecz bardziej niepokojąca jest przyszłość polityczna południowego Wietnamu. Rząd Ngo Dinh Diema, pozbawiony autorytetu, rozdzierają waśnie wewnętrzne; w administracji panuje korupcja. Głowa państwa, cesarz Bao-Dai, przebywa stale we Francji i nie odgrywa żadnej roli politycznej. W południowej części kraju istnieją poważne enklawy komunistyczne, do których nie sięga władza Diema. Jaki taki ład utrzymują wojska francuskie, stopniowo wszakże wycofywane, gospodarkę kraju chronią przed załamaniem amerykańskie dolary. Znany dziennikarz amerykański, J. Alsop, przebywający w Indochinach z ramienia „New York Herald Tribune", nadsyła stamtąd alarmujące reportaże.

Panuje przekonanie powszechne, że po wyborach mających się odbyć w Wietnamie w lipcu 1956 r., lub nawet przed tym, Ho Chi Minh, mocno usadowiony na północy, opanuje także południową część kraju. Jaki będzie los tych tysięcy uchodźców tak mocno przywiązanych do swej wiary katolickiej, gdy wojska komunistyczne wkroczą do Saigonu?

„Wracam" — mówi Mgr. Rodhain — wstrząśnięty dramatem jaki przechodzi historia Kościoła na Dalekim Wschodzie". Dramat ten się rozwija na ogromnych obszarach Azji, od Sinkiangu do Oceanu Indyjskiego, i jeszcze nie dobiegł końca. Każdy kompromis ze światem komunizmu, maskujący mniej lub więcej udatnie kapitulację Zachodu, znaczą cierpienia i krew tysięcy ludzi.

L. K.

A tymczasem uwydatniają się wysiłki celem odsunięcia młodzieży od wiary. Wiadomości agencji prasowej, wciąż nie potwierdzone, podają, że w szkołach powszechnych zabroniono nauczania religii: wiedzieliśmy, że faktycznie doszło już do zakazu; nie wiedziało się jednak aż do wczoraj o istnieniu rozporządzenia w tym zakresie. Od dziś nauczanie katechetyczne może być udzielane tylko w domu rodzinnym i w kościołach.

Ale oficjalna i flankująca prasa polska — owa bardziej autorytatywna zajmuje się religią tylko w celu jej poniżenia, — będzie w dalszym ciągu pisać na użytek zewnętrzny, że osławione „porozumienie" z 1950 r. jest skrupulatnie przestrzegane przez szanujące je władze komunistyczne.

NOWE KSIĄŻKI

„ŚLAD BOSEJ NOGI"

Debiuty literackie ludzi starszych, tj. pięćdziesięcio i sześćdziesięcio-latków są jednym z niezwykłych zjawisk naszych dni. Milkliwości pisarzy już wypróbowanych, którzy jakoś cofają się przed wypowiedzią, czym był człowiek w obliczu fantastycznej próby wojennych lat — dla nas Polaków wciąż jeszcze aktualnej — i czym po niej pozostał, towarzyszą wyznania — nazwijmy ich tak — „amatorów".

Żaden z nich, sądzę, nie przeszedł kursu jak pisać „short stories" i „novels". Przeszkolenie pisarskie odbyli po polsku, tzn. pogląd na świat urabiali na co znakomitszych powieściach naszych. Oczytanymi, jak przystało na szanującego się „klerka", nie byli nigdy, częściej za to zaczytywali się na śmierć trafiwszy na autora, który włamał się do duszy. A potem przejścia wojenne. Raz po raz musieli sprawdzać jak „naprawdę" wygląda świat i czemu może sprostać człowiek, który się uparł, aby poglądy swe, przekonania, duchową treść obronić stawiając na kartę całego siebie. To co stało się kiedyś w celi klasztoru bazylianów z Gustawem — Konradem, bohaterem „Dziadów", powtórzyło się po tysiąc razy na szlakach polskiej wojny i polskiego wygnania. Żaden z przeobrażonych nie osiągnął poetyckich wyżyn Mickiewicza, każdy jednak podejmował buntowniczą rozprawę, jeśli już nie z Bogiem, to w każdym razie z szatanem, którego szukał bliżej czy dalej i którego obwiniał tak w imię własne jak i w imię „milionów" Polaków. Byli tacy, którym starczyło ujrzeć diabła w „sanacji", inni zasię w Hitlerze, Stalinie, Roosevelcie i Hissie, mało kto doskrobał się do niego także i w samym sobie lub, mówiąc dokładniej, w całej puściźnie, którą obarczyła Polaka jego tradycyjna kultura.

Tu wypadnie uczynić znów pewną poprawkę Zajączkowski, jak niemal wszyscy piłsudczycy, wyrastał na przykazaniach wieku Oświecenia. Za młodu więc był, i musiał być, radykałem, postawę duchową urabiał na Żeromskim, do kościoła chodził tylko gdy śpiewali „Gaude Mater Polonia", wierzył w oświatę, lud i być może nawet szkoły koedukacyjne i sport. Gdy jednak, jak wszyscy oświeceńcy spod znaku Piłsudskiego, sprawę Polski i jej prawo do wolności miał we krwi, uchronił się przed sklerozą sceptycyzmu, a z wojny wyszedł nie jak mumia zachowująca pozór światłego i doskonałego człowieka, a jak obolały, poharatany, lecz wewnętrznie gorący i nieodmiennie dochodzący swego inwalida.

Cóż rzec o samej powieści i o jej stronie literackiej? Przede wszystkim to, że powieści „sensu stricto", a więc powieści urojonej o czasach wojny napisać jeszcze nie można. Stanie się to być może dopiero wtedy, gdy ludzkość, a zwłaszcza my Polacy, odnajdzie pod nogami utracony grunt. „Ślad bosej nogi" jest więc czymś w rodzaju beletryzowanego pamiętnika, a wyobraźnia autora ugina się ciągle pod jarzmem przeżyć doznanych osobiście. Są wszakże rozdziały, jak śmierć Pauksza i losy jednej z czołówek w bitwie pod Monte Cassino, gdy autor stwarza wyimaginowany obraz wydarzeń i wtedy zdradza pierwszorzędne uzdolnienia pisarskie. I rzecz namienna. Problematyka powieści pogłębia się wówczas od razu.

Trzeba przyznać Zajączkowskiemu, że w rozrachunku, jakim z natury rzeczy musiał być los piłsudczyka, rzuconego w okresie wojny na szlak Rosja — Irak — Włochy, w rozrachunku wielostronnym, boć i z bolszewikami i ze swoimi, zachował poczucie taktu. Nie znajdziemy w książce opisów łagrów na Kołymie czy w Workucie, ani wydarzeń, co to mają „mrozić krew" a budzą znużenie, gdyż nic nowego przynieść już nie mogą po wszystkim, czego byliśmy świadkami. Tępe okrucieństwo jest i będzie problemem nierozwiązalnym dla człowieka, który zachował humanitarną postawę. Wie o tym autor, i tam gdzie opisuje Rosję poprzestaje na niedoli ludzi z „posiołka", wygłodzonych, spragnionych radości życia, choćby nią była tylko jedwabna chusteczka umierającego Polaka.

Kiedy zaś chodzi o rozprawę ze swoimi, nie użyje również Zajączkowski najtańszego chwytu. Główny w powieści „ciemny typ" nie jest ani endekiem ani pepesiakiem, a graczem z pobliża piłsudczyzny, jednym z tych, których swego czasu nazywano „dziesiątą brygadą". Oportunista i karierowicz, jest już w Polsce jakimś radcą rządowym i prorządowym. Później dopiero przekształci się z emigracyjnego „działacza", arcydemokratę i realistę spod znaku tych, którzy afirmowali Jałtę.

Bohater Zajączkowskiego wyszedł obronną ręką z Rosji, podąża ku Polsce wraz z wojskami polskimi pod dowództwem gen. Andersa, walczy dzielnie, zwycięża, zżyma się na „kasztaniarzy" i rzecz prosta staje koniec końców w obliczu klęski, jaką poniosła sprawa jego ojczyzny. Jako Polak i piłsudczyk kończy swój wojenny przewód akcentem rozpaczy.

Nie to jednak jest najciekawszym rysem książki. To, co w niej najbardziej zastanawia, jest to dramat owego właśnie pokolenia polskich „oświeceńców", z których składała się piłsudczyzna. Ludzie ci w książce Zajączkowskiego postępują i reagują jak chrześcijanie. Śmierć Pauksza, który do ostatniej chwili rozdaje między biedną ludność rosyjskiego posiołka wszystko, co jeszcze posiada, jest aktem wyznania wiary człowieka, który do głębi przyswoił sobie miłosierdzie chrześcijanina. Pauksza nie jedna się jednak z Bogiem w ostatniej chwili. Przypuśćmy, że stało się to tylko dlatego, iż był na wygnaniu, sam jeden z dala od księdza i kościoła.

Bohatera swego głównego zostawia Zajączkowski w ostatniej chwili na schodach kościoła i nie pozwala mu wejść do środka. Jest w tej scenie coś wspólnego z zakończeniem „Przedwiośnia", kiedy to Baryka nie potrafi powziąć ostatecznej decyzji, postawiony nie przed świątynią, co prawda, a przed rewolucyjną barykadą. Jeżeli jednak Baryka wyrażał problemat raczej indywidualny, to w niezdecydowanej postawie bohatera „Śladu bosej nogi" zamyka się dramat całego jego pokolenia. I może nawet więcej: dramat całej zachodniej kultury wyrosłej z wieku Oświecenia.

Ferdynand Goetel

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW BIBLIOTEK SPK

Zarząd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Oddział W. Brytania ogłasza konkurs dla czytelników bibliotek SPK na opracowanie pt. „Moje wrażenia po przeczytaniu książki..."

Warunki konkursu:

1. Udział w konkursie mogą wziąć wszyscy czytelnicy bibliotek SPK.

2. Opracowanie — w granicach 500 do 600 słów — może być ujęte w dowolnej formie.

3. Uczestnik konkursu winien podać: a) imię i nazwisko (lub godło), b) wiek, c) swój adres i nazwę biblioteki, z której korzysta.

4. Termin nadsyłania prac trwa do 15 kwietnia 1955 r.

5. Najciekawsze opracowania lub ich fragmenty mogą być ogłoszone w prasie za normalnym honorarium.

6. Za najlepsze opracowania przewidziane są jako nagrody wartościowe książki.

STANISŁAW KOPAŃSKI

STOPNIOWA SOWIETYZACJA SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU

Na wstępie pragnę podkreślić, że obecne Siły Zbrojne w Kraju to nie parę setek tysięcy źle uzbrojonych i wyposażonych żołnierzy, jak przed rokiem 1950, ale około pół miliona ludzi pod bronią, ponadto co najmniej milion wyszkolonych rezerwistów w wieku poniżej 30 lat życia; to około 30 nowoczesnych dywizyj piechoty i wojsk pancernych, wspartych przez odpowiednią ilość jednostek pomocniczych i służb — to ponad 1500 czołgów i niewiele mniej samolotów bojowych. Polskie dywizje piechoty, zmechanizowane i pancerne stanowią 14% istniejących dywizji sowieckich i ponad 30% ogółu dywizji satelickich, a 40% dywizji sowieckich stacjonowanych w Niemczech i zachodniej części Związku Sowieckiego. Może to być imponujący wkład do sowieckiego potencjału wojennego.

Te siły zbrojne zostały „urodzone w niewoli".

Gdy w 1942 roku próby politycznego opanowania Armii Polskiej w ZSSR pod dowództwem generała Andersa nie powiodły się, władze sowieckie zaczęły stosować szykany, wyraźnie obliczone na zupełne ograniczenie rozrostu tej Armii i na zmuszenie jej do opuszczenia terenu Rosji, co też nastąpiło. Wydaje się, że Sowiety tylko czekały na ten moment. Związek Patriotów Polskich, składający się z komunistów polskich, przystąpił do otwartej akcji, wymierzonej przeciwko legalnemu rządowi polskiemu. Dnia 11 maja 1943 roku radio i prasa moskiewska podały:

„...Rząd Radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim.

Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło."

Kadrę dowódców i instruktorów jednostek tej dywizji stanowili oficerowie sowieccy.

Dalsze jednostki tworzono już na stopniowo zajmowanych przez armię czerwoną ziemiach polskich w drodze mobilizacji, ale i w tym wypadku wszystkie stanowiska dowódcze obejmowali oficerowie sowieccy.

Po zakończeniu wojny następuje demobilizacja jednostek wojennych.

W tym czasie wojsko polskie w swej strukturze wewnętrznej i w nastrojach odbiegało jeszcze daleko od wzorów sowieckich.

Rok 1948 był początkiem akcji Kremla i agentów sowieckich, którym udało się w roku poprzednim przeprowadzić fałszowane wybory i powołać do życia powolny sobie sejm.

W roku 1949 stanowisko wicepremiera obrony narodowej do spraw politycznych objął Edward Ochab, stary agent sowiecki i bliski współpracownik Bieruta, powołany do wojska i awansowany do stopnia generała brygady.

Pierwszym zarządzeniem Ochaba jest wstrzymanie odejścia oficerów sowieckich i zarządzenie ostrej czystki całej kadry oficerskiej. Partia zostaje oficjalnie wprowadzona do wojska i od samego początku odgrywa decydującą rolę.

W tym samym czasie Korczyc i Popławski reorganizują radykalnie metody szkolenia wojska, przestawiając je na wzory sowieckie i przygotowują, na wyraźne żądanie Dowództwa Czerwonej Armii, plany rozbudowy sił zbrojnych, ich unowocześnienia i przezbrojenia.

Na przeprowadzenie tej reorganizacji musiał przyjść ktoś z Rosji — dobry fachowiec, zaufany człowiek partii a jednocześnie Polak z pochodzenia, który mógłby upozorować swój powrót do ojczyzny swym pochodzeniem i rzekomą tęsknotą za krajem rodzinnym.

Człowiekiem tym był Rokossowski.

Społeczeństwo polskie dowiedziało się o jego mianowaniu Ministrem Obrony Narodowej z serii komunikatów ogłoszonych w dniu 7 listopada 1949 roku. Komunikat ze wspólnego posiedzenia Rady Państwa i Rady Ministrów zawierał następujące oświadczenie tzw. „prezydenta" Bieruta:

„...Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut, zważywszy, że Marszałek Rokossowski jest Polakiem i cieszy się popularnością w narodzie polskim, zwrócił się do Rządu Radzieckiego z prośbą o skierowanie, o ile to jest możliwe, Marszałka Rokossowskiego do dyspozycji Rządu Polskiego... Rząd Radziecki, mając na względzie przyjazne stosunki, które łączą ZSRR i Polskę i biorąc pod uwagę, że Marszałek Rokossowski decyzję w tej sprawie pozostawił w pełni Rządowi Radzieckiemu, zgodził się uczynić zadość prośbie Prezydenta Bolesława Bieruta..."

Komunikat ten nie odpowiadał rzeczywistemu stanowi rzeczy. Rokossowski nie był uważany przez społeczeństwo polskie za Polaka i nie był popularny. Sam on 4 miesiące przedtem, z okazji udziału w uroczystościach 22 lipca 1949 roku w Warszawie, w przemówieniu swym powiedział:

„...W tym historycznym dniu w dniu piątej rocznicy odrodzenia Polski, my sowieccy żołnierze, przesyłamy serdeczne bojowe pozdrowienia całemu ludowi pracującemu Polski... Wasze sukcesy są owocem nowego ustroju... Sukcesy te były możliwe do osiągnięcia dzięki wielkiej przyjaźni między naszymi narodami..."

A więc ten „żołnierz radziecki" określił sam swą przynależność narodową.

W pierwszym swym rozkazie do wojska z dnia 7 listopada 1949 r. Rokossowski mówi:

„...W poczuciu odpowiedzialności, jaką ponoszę wobec narodu polskiego... oraz bratniego nam narodu radzieckiego, który mnie wychował jako żołnierza i dowódcę — obejmuję powierzony mi posterunek...

...Wraz z Armią Radziecką stać będziemy na straży pokoju, którego orędownikiem i obrońcą jest wielki Stalin...

...Szeregowym i oficerom Wojska Polskiego r o z k a z u j ę

— stać wiernie na straży Polski Ludowej, Jej Niepodległości i nienaruszalności Jej granic...

— zacieśniać węzły braterstwa z potężną Armią Radziecką i armiami krajów Demokracji Ludowej, pogłębiać pracę polityczną..."

Cel istnienia Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Rokossowskiego określił gen. Ochab w przemówieniu wygłoszonym 12 października 1950 roku w następujących słowach:

„...Święto Wojska Polskiego jest manifestacją wierności i synowskiego oddania wodzowi wyzwolonych narodów, wodzowi naszego wyzwolonego narodu, Wielkiemu Stalinowi. Pod jego dowództwem, pod jego sztandarem, obronimy pokój i wolność, pokrzyżujemy zbrodnicze plany imperialistycznych podżegaczy wojennych.

Partia nasza, która kieruje losami narodu, korpus oficerów politycznych, którzy z ramienia Partii kierują wychowaniem żołnierzy, wszyscy dowódcy poszczególnych oddziałów i całego wojska będą nieustannie pracować, aby jeszcze bardziej pogłębiać i umacniać przyjaźń i braterstwo Armii Polskiej z Armią Radziecką, tak aby Wielki Wódz Narodów, Towarzysz Stalin, mógł zawsze, w każdej sytuacji, polegać na bojowych dywizjach Wojska Polskiego równie niezawodnie, jak polega na dywizjach bohaterskiej Armii Radzieckiej."

A więc cel jasny i niedwuznaczny — już nie obrona granic i niepodległości Polski, ale dostarczenie bojowych dywizji Związkowi Radzieckiemu.

A oto środki, za pomocą których dąży Związek Radziecki do tego celu:

— dowodzenie przez oficerów sowieckich,

— nieustanne szkolenie polityczne,

— ciągły nadzór policyjny,

— dyscyplina posunięta do granic terroru,

— izolacja żołnierza od społeczeństwa.

Wiemy, że ten stan rzeczy w Siłach Zbrojnych znany jest społeczeństwu w Kraju.

Mamy tu na Zachodzie uchodźców, którzy jeszcze w 1953 roku służyli w siłach zbrojnych w Kraju. Stwierdzają oni, że żołnierz polski obowiązki swoje spełnia pod terrorem drakońskich przepisów dyscyplinarnych, a jego marzeniem jest jak najszybszy powrót do życia cywilnego.

My, tutaj na obczyźnie, zdajemy sobie sprawę, że Siły Zbrojne w Kraju są masą żołnierską polską, myślącą i czującą prawdziwie po polsku.

Wiemy, że są one dowodzone przez oficerów sowieckich i znajdują się w rozporządzeniu Kremla, działającego wbrew interesom Polski.

Rozumiemy, że te siły zbrojne będą elementem dużej wagi w momencie decydującym, gdy się skończy przemoc sprawujących nad nimi władzę.

Stanisław Kopański
Gen. dyw.

DYSKUSJE

W ODPOWIEDZI „KULTURZE"

W styczniowym numerze „Kultury" ogłoszono mój artykuł w rubryce „Wolna Trybuna" na temat stosunku Emigracji do polityki Zachodu wobec Polski i wynikających z tego wniosków. Usadawiając mnie na „wolnej trybunie" redaktor „Kultury" w znamienny sposób naruszył jednak naturalne i zwyczajowe prawo przemawiającego z niej mówcy: zanim udzielił mu głosu, sam wypowiedział nieprzyjazny komentarz, ogłaszając go odrębnym i uwypuklającym drukiem, samego „wolnego trybuna" pomniejszając mniejszymi czcionkami.

Ten bardzo charakterystyczny chwyt, usiłujący ograniczyć wartość wypowiedzi z rzekomej „wolnej" trybuny, nie najbardziej mnie jednak zdumiał w piśmie, które chce uchodzić za organ swobodnej wymiany poglądów.

Istotną w redakcyjnym komentarzu była oczywiście jego treść. Aby uniknąć ponownie metody zastosowanej przy ogłaszaniu pierwszego artykułu, postanowiłem replikę ogłosić na łamach pisma dającego prawidłową gwarancję lojalności wobec publicysty i jego uprawnień nawet wtedy, gdy wyrażane przez niego poglądy nie całkiem pokrywają się ze stanowiskiem redakcji. Tylko zachowanie tej lojalności bez żadnych ubocznych sztuczek może nas skutecznie odróżnić od systemu stosowanego za żelazną kurtyną. Każdy grom rzucony pod adresem tego systemu z naszej strony, jest pustym i bezdźwięcznym frazesem, o ile w praktyce i wśród nas obowiązuje zasada ograniczania swobody myśli i przekonań stosowana przy pomocy cenzury, uprzedzających komentarzy i różnych innych figlów choćby natury technicznej.

Redaktor „Kultury" — uprzedzając moje wywody — wyłożył w swoim komentarzu argumenty uzasadniające w jego przekonaniu stanowisko absolutnej i niczym nie ograniczonej solidarności polskiej z polityką Stanów Zjednoczonych. „Zarówno my, jako Emigracja — czytamy — jak i państwa Zachodu jesteśmy związani z Ameryką, zarówno wówczas, kiedy polityka amerykańska jest słuszna i celowa, jak i wtedy, kiedy ta polityka jest błędna."

„Po tej stronie barykady — czytamy dalej — znajdujemy się wszyscy na pokładzie jednego okrętu. Jeśli ktoś nie godzi się z polityką kapitana, może opuścić statek... skacząc do morza. To jest wyjście, które sugeruje p. Hrabyk."

Kol. redaktor „Kultury" myli się i jest bardzo nieścisły. Nie sugeruję i nie sugerowałem nigdy skoku do morza, natomiast wydaje mi się, że wobec coraz bardziej niewyraźnej sytuacji, należy oglądnąć się za łodzią ratunkową, przy pomocy której — w krytycznym, ewentualnym momencie — należałoby podjąć próbę dobijania ze sprawą polską do stałego lądu. W żadnym natomiast wypadku nie mógłbym uznać za możliwe i za słuszne, aby wiązać problem polski na śmierć i na życie z jakąkolwiek polityką, o której mielibyśmy urobione przekonanie, że jest błędna czy szkodliwa dla sprawy polskiej czy w ogóle dla świata wolnego. Oczywistych szaleństw nie należy nazywać polityką, a wyznawców takiego planu, opanowanych szałem, należy zawczasu izolować od wpływu na bieg wydarzeń politycznych.

Czytamy w komentarzu „Kultury", że „okres koegzystencji może trwać 10 lub 15 lat — nikt jednak ani w Moskwie ani w Waszyngtonie nie łudzi się, że jest to rozwiązanie ostateczne".

Pomijając już to, że w historii w ogóle ostatecznych rozwiązań nie ma i ich niedostateczność nie może być dla nikogo żadną pociechą, trzeba równocześnie powiedzieć, że gdyby koegzystencja miała trwać nawet „tylko" 10 do 15 lat, to obejmuje już okres w którym jako Emigracja i jako pokolenie nie wiele będziemy mieli do powiedzenia. W gruncie rzeczy nasza rola do tego czasu dobiegnie końca. Powstaną nowe sytuacje analogicznie jak powstały między rokiem 1918 a 1939, po których wszystko, cośmy myślelili i planowali w okresie dwudziestolecia, okazało się po prostu nieaktualne. Historia naszej epoki biegnie szybciej, niż za lat naszych ojców i dziadów.

Jedyną, trwałą wtedy wartością w świetle zapowiadającego się rozwoju wypadków — pozostanie dla nas Polakow sprawa utrzymania bytu naszego narodu w każdej sytuacji i wśród wszystkich możliwych okoliczności. Także wśród tej, która mogłaby doprowadzić do klęski Stanów Zjednoczonych w spóźnionym starciu czy bez starcia, z blokiem komunistycznym.

Powiada komentarz „Kultury", że „obecnej sytuacji nie można porównać z sytuacją sprzed pierwszej wojny światowej. Polacy nie są obecnie podzieleni na „orientacje" — nie dzielą ich również przeciwieństwa politycznych koncepcji typu Piłsudski contra Dmowski. Dziś nie ma ani ugodowców ani lojalistów", a w Kraju 98 % Polaków nienawidzi zarówno Rosji jak reżymu.

Cała ta ocena jest zadziwiająco płytka i powierzchowna. Nie ma bowiem co prawda między nami Piłsudskiego i Dmowskiego, ale czy nie ma ostrych przedziałów orientacyjnych, nie dosłownie tych samych, co w roku 1914, ale zbliżonych do tamtego sporu, albo zupełnie nowych? A cóż to jest ostry spór w sprawie federacji, w sprawie zjednoczenia lub podziału Niemiec, w sprawie związku ze zjednoczoną Europą a nawet w sprawach terytorialnych Polski, o czym się nie mówi i nie pisze głośno, ale o czym się co najmniej myśli i mówi w czterech zamkniętych ścianach? Czy redaktor „Kultury" nie przewiduje ponadto, że w dniu szczęśliwego rozwiązania problemu Polski, wybuchnie od razu na tle zagadnienia: Niemcy — Rosja, stary i nieuniknięty spór o to, czy z Rosją czy z Niemcami, czy samym, czy jednak federacja? To zbyt prostackie — niestety — uproszczenie całego, wielkiego splotu zagadnień, aby pocieszać się, że dziś wszyscy jesteśmy przeciw „reżymowi" i Rosji i w ten sposób chować głowę w piasek i udawać, że się nie widzi wielu innych zagadek dalszego bytu. To, że unikamy dyskusji na temat, co nam praktycznie może przynieść trzecia wojna — nie znaczy wcale, że przyniesie by nam mogła niespodzianki, o których nawet redaktorowi „Kultury" dzisiaj się nie śni. I właśnie o tym warto również zawczasu myśleć, zamiast beztrosko oddawać się w objęcia polityki, o której wiedzielibyśmy, że jest błędna i szkodliwa.

„U podstaw filozofii politycznej p. Hrabyka tkwi przekonanie, że obowiązkiem Amerykanów jest wyprzeć Rosję z Europy Wschodniej — pisze sarkastycznie redaktor „Kultury", ukrywając pod tym zdaniem zarzut przeciw tej filozofii. — Jedynym naszym natomiast zadaniem jest oburzać się, że jeszcze tego nie zrobili. Wszystko ma robić Zachód, z którym p. Hrabyk wprawdzie się nie solidaryzuje (jeżeli przez Zachód rozumieć Amerykę), rezerwuje sobie natomiast prawo krytyki. W tej koncepcji, Emigracja jest już nie tyle na marginesie Zachodu, ile w ogóle, poza nawiasem wolnego świata."

Jest mi bardzo przykro, ale nie rozumiem. Jakąż filozofię miałbym wyznawać, walcząc o istnienie wolnego świata, a co najmniej także o istnienie Polski wolnej od przemocy sowieckiej? Czyż naprawdę miałbym się ograniczać do zachwalania i popierania problematycznej wolności tylko Południowej Korei i Formozy, przymykając oko na Indochiny i Chiny, a przemilczając w ogóle wolność Polski?

Wszystko, co możliwe — wspólnie z redaktorem „Kultury" i z całą Emigracją od lat robimy, aby nakłonić, wytłumaczyć, zachęcić, popchnąć Zachód ku dziełu wyzwolenia krajów ujarzmionych. Minie już jednak wkrótce dziesięciolecie i oto stoimy przed okresem koegzystencji, którą nawet w „Kulturze" przewidują na lat 10 do 15. Sądzę, co prawda, że będzie to trwało nieco dłużej. Cóż zatem należy czynić, jeśli się nie oburzać i co najmniej nie krytykować tego stanu rzeczy? Dawniej urządzano zamachy na sprawców takich wydarzeń. Dzisiaj pisze się tylko protesty i artykuły. Redaktor „Kultury" ma za złe nawet krytykę. Wygląda na to, że chciałby ochoczo włączyć się do procesu zbiorowego samobójstwa, byle nie uszczknąć niczego z rąbka bohaterskiej postawy wierności dla kapitana okrętu, na którym płyniemy. Ten gest jest tradycyjnym obowiązkiem marynarzy na prawdziwym statku i na prawdziwym morzu. W polityce narodów jest jednak głupotą i zwykłą zbrodnią. We wrześniu 1939 i w sierpniu 1944, a w ogóle w czasie II wojny, zastosowaliśmy „politykę honoru" i oto zbieramy jej gorzkie, tragiczne owoce. Nie my, ale Francja Petaina, nie my, ale Niemcy Hitlera zajmują pierwsze miejsca w wielkiej rodzinie narodów. Nam „Kultura" zabrania nawet prawa krytyki i protestu.

„Emigracja — pisze redaktor tego pisma — nie jest politycznym „no-man's-landem", lecz jest częścią Zachodu i przynależy w pełni do koalicji wolnego świata".

Tylko, że ten wolny świat — trzeba dodać — nie uważa nas za uczestników swojej koalicji i naszym kosztem zawiera pakt koegzystencji z jej przeciwnikami. Emigracja — trzeba powiedzieć ponadto — będąc częścią Zachodu, jest przede wszystkim częścią swego narodu. Być nią w każdym razie powinna i z chwilą, gdy nią być przestanie, zagubi się i przekreśli sens swego istnienia. A przekreśli go z chwilą, gdyby uznała, że łączyć się wolno i trzeba z kimkolwiek, kto prowadzi politykę sprzeczną z interesem własnego narodu.

Nie głoszę „niezależności polityki polskiej od Ameryki", jak chce redaktor „Kultury", ale przeciwstawiam się ślepej jej zależności budowanej na nadziejach, które nie posiadają żadnych obiektywnych podstaw. Przeciwstawiając się zależności typu redaktora „Kultury" czy „polityki nadziei" Mackiewicza — szukam drogi innego ustawienia pozycji polskiej na emigracji, która by z klientów uczyniła z nas partnerów, jeśli już nie pełnowartościowych, to przynajmniej interesujących kogokolwiek na świecie. Nie można zostać niczyim partnerem, nie mając za sobą żadnej bazy i elementów siły. Jedyną bazą polskiej polityki i jedynym elementem jej siły może być tylko Kraj. Kraj opanowany przez obcą przemoc, nie przestał być ani przez chwilę bazą skupiającą jedyną realną, znaczną siłę w postaci narodu i tego wszystkiego, co on dziś tam reprezentuje, tworzy, buduje i umacnia.

Trzeba zatem zmienić nasz stosunek do tej bazy. Przy całym ckliwym do niej sentymentalizmie, wyraża się on między nami postawą protekcjonalną do kraju nędzarzy, biedaków, męczenników, łachmaniarzy i prześladowanych ofiar nieszczęsnego losu, które w tej formie bezustannie prezentujemy światu, pomniejszając walor naszej karty, gdy trzeba przecież ją zwiększać. Sami nie reprezentując żadnych konkretnych walorów siły, spychamy w ten sposób problem polski do rzędu niegodnych uwagi incydentalnych fragmentów wielkiego problemu, choćby Europy.

Rosja doskonale rozumie to zagadnienie i wyolbrzymia rolę Polski, robi z niej trzecią potęgę w swoim bloku. Na Zachodzie walor Polski spadł poniżej zera. Emigracja spycha go jeszcze niżej, byle utrzymać się w wielkim wyścigu propagandy antykomunistycznej i nie dać się w tej dziedzinie zepchnąć z pierwszego miejsca w rydwanie choćby „błędnej" polityki.

Jeśli zaś przekonanie, jak nas zapewna „Kultura", że walkę o hegemonię nad światem narzuconą Ameryce przez Sowiety — Ameryka podejmie i wygra, jest słuszne i uzasadnione, trzeba tym bardziej podjąć już dzisiaj wysiłek, aby w chwili tego zwycięstwa sprawa polska nie leżała na dnie łachmanów wielkiej problematyki światowej. Liczyć się będą wtedy znowu nie męczennicy i ofiary, ale silni. I nie najwierniejsi, ale najmocniejsi. I nie ślepo oddani, ale właśnie oporni. Bo tak nam mówi gorzkie doświadczenie. I tak zresztą wynika z przyrodzonych praw natury ludzkiej.

Klaudiusz Hrabyk

SUBSKRYPCJA NA LUTY 1955

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
12. PRAED MEWS, LONDON, W. 2

FERDYNAND GOETEL

CZASY WOJNY
(1939 — 1945)

Okres subskrypcyjny na tę książkę trwa do 28 lutego 1955.

CENA W SUBSKRYPCJI (z opak. i przesył.): **szyl. 9/-.** Po tym okresie książka kosztować będzie: 15/-.

CZY PRENUMERUJESZ STALE KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"?

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 lutego 1955.

NASZE SPRAWY

WSPÓŁZAWODNICTWO

Kiedyś, przed wielu laty, rozmawiałem z Romanem Dmowskim w ogrodzie, stojąc przy grzędzie truskawek.

Coś się Dmowskiemu nagle przypomniało i zaczął opowiadać o odwiedzinach angielskiego pisarza katolickiego G. K. Chestertona, w jego gospodarstwie wiejskim w Chludowie pod Poznaniem.

— Pokazałem mu moją hodowlę truskawek, którą urządziłem na zboczu, tarasami, osłoniętą od północy i nagrzaną słońcem. „Dojrzewają tu panu truskawki chyba o jakie dwa tygodnie wcześniej, niż innym", — odezwał się Chesterton. Zgromiłem go. „Operuje pan niekatolickim pojęciem: pojęciem współzawodnictwa", — powiedziałem. — „Katolik nie dąży do tego, by coś robić lepiej, niż inni, lecz dąży do doskonałości. Truskawki moje dojrzewają o dwa tygodnie wcześniej, niż przedtem." Przyznał mi rację.

Nieraz sobie przypominam tę rozmowę polskiego myśliciela i polityka, w owym czasie jeszcze raczej sceptyka, choć później na wiarę ojców głęboko i szczerze nawróconego, ze znakomitym pisarzem katolickim, Anglikiem, gdy widzę jaką rolę odgrywa współzawodnictwo w życiu angielskim.

W Anglii wszyscy starają się wszystko robić — lepiej, niż inni. Gdy rozmawiam z moimi dziećmi o tym, czego i jak się uczą w szkołach — nawiasem mówiąc w szkołach katolickich — dochodzę do wniosku, że „competition", że współzawodnictwo, jest jedną z głównych podstaw systemu nauczania i wychowania w angielskim szkolnictwie. Uczysz się nie tyle po to, by tę rzecz poznać, zgłębić, zrozumieć, by rozszerzyć swój umysł, wzbogacić swoją wiedzę, pogłębić swoją duszę, co po to, by wygrać we współzawodnictwie, by otrzymać więcej punktów, niż koleżanki czy koledzy, by zająć wyższe miejsce w klasyfikacji.

Jednym z celów angielskiego szkolnictwa jest przygotowanie ludzi — do walki. Jeśli to nie jest prawdą — jakiż jest w takim razie cel tych niezliczonych współzawodnictw sportowych, w których młodzież bierze udział i którymi się pasjonuje nie tylko młodzież, ale także i ciało pedagogiczne i rodzice? Mówi się, że te zawody mają nauczyć rycerskości we współzawodnictwie, oraz umiejętności wielkoduszne go znoszenia przegranej. Zgoda! Ale przede wszystkim — uczą one samego współzawodnictwa. Wyrabiają zmysł tego współzawodnictwa, zmysł pragnienia zwycięstwa w wyścigu, zmysł — walki.

Tak się złożyło, że chodziłem w życiu do wielu szkół i to do szkół trzech narodowości: polskich, niemieckich i rosyjskich. A w ogóle nie pamiętam, bym w którejkolwiek z tych szkół sam przeżywał, albo widział, że inni przeżywają choćby cień tych emocji walki o pierwszeństwo, jakie tak wybitnie wypełniają życie szkoły angielskiej. I czy uczyliśmy się wskutek tego gorzej? Jestem pewien, że nie; myślę, że w sumie nauczyliśmy się w szkole raczej dużo więcej, niż dzisiejszy uczeń przeciętnej Grammar School angielskiej. I czy — idźmy dalej — staliśmy się gorzej przygotowani do walki? Myślę, że i to nie. Gdy walka staje się nieuniknioną — zwykle przykrą — koniecznością, myślę, że Polak, Niemiec i Rosjanin potrafią być do niej zdolni.

Oczywiście, są wypadki, gdy współzawodnictwa uniknąć nie można. Gdy na wydziale lekarskim jest w tym roku 40 miejsc, a zgłasza się 200 kandydatów, nie obejdzie się bez egzaminu konkursowego, który wyeliminuje wiele jednostek, skądinąd wartościowych, zdolnych i dobrze przygotowanych. Zwycięzcy w konkursie mogą przyjąć wiadomość o swoim zwycięstwie z radością i z uczuciem ulgi — ale zgoła nie potrzeba, by przymieszało się do tego uczucie tryumfu z odniesienia zwycięstwa nad pokonanymi. Przeciwnie: współczucie dla nich i uczucie przykrości, że nie wystarczyło miejsca dla wszystkich, powinno raczej radość z osiągnięcia samego celu choć trochę przytłumić. Myślę, że ta odmienność reakcji uczuciowej i całej życiowej postawy wypływa z odmienności źródeł katolickiej i protestanckiej kultury.

Dwie wielkie teorie walki narodziły się na tej wyspie: teoria walki o byt, Darwina, i teoria walki klas, Marksa. Czy to są teorie słuszne?

O obu można już dziś zupełnie stanowczo powiedzieć, że są niesłuszne.

W teorii Darwina jest, rzecz prosta, wiele elementów — i niektóre z tych elementów są słuszne. Jest w niej po pierwsze teoria ewolucji — i teoria ta przyjęta jest dziś przez większość przyrodników, także i przyrodników katolickich (choć istnieje nadal mniejszość, która tę teorię odrzuca). Jest w w niej po drugie teoria, że przyczyną ewolucji jest dobór naturalny; to już jest mniej powszechnie uznawane: dobór naturalny może być jedną z przyczyn ewolucji, ale nie jest przyczyną jedyną. Jest w niej po trzecie teoria, że dobór naturalny dokonywa się drogą współzawodnictwa i walki o byt. To już jest dziś odrzucane prawie przez wszystkich. Oczywiście, w odosobnionych sytuacjach walka o byt może mieć miejsce. Ale normalnie, przyroda się bez współzawodnictwa obchodzi. Zilustrujmy rzecz przykładem: jeśli jest na pustyni susza i wiele antylop zdycha z pragnienia, a pozostają przy życiu (i dają początek wyselekcjonowanej rasie) tylko te, co są najodporniejsze — to jest tu ewolucja i jest eliminacja elementów słabszych — ale gdzież jest współzawodnictwo i walka? Jedna antylopa nie przeszkadza drugiej w przetrwaniu i doczekaniu się pory deszczowej! Mogłyby nawet przetrwać wszystkie — jeśliby wszystkie były równie odporne.

Marksistowska teoria walki i jej konsekwencja: teoria materializmu dziejowego musi być odrzucona przez każdego człowieka rozumiejącego życie i powodującego się zdrowym rozsądkiem. Oświetla ona pewien aspekt życia, który przed Marksem nie był dostrzegany i wskutek tego utorowała drogę nowym gałęziom badań historycznych, takim, jak badania dziejów gospodarczych i społecznych, ale jako ogólny i jedyny klucz do zrozumienia mechanizmu funkcjonowania życia ludzkości — jest po prostu nonsensem.

Nawet i w handlu — współzawodnictwo i walka o byt nie zawsze wyglądają w praktyce tak, jak to sobie wyobrażają laicy. Nowa książka na ten sam temat nie zawsze zabija książkę wcześniejszą: czasem powiększa zainteresowanie tematem i tym samym zwiększa popyt także i na swoją poprzedniczkę. Pamiętam kupca bławatnego na warszawskim przedmieściu, który cieszył się, że tuż obok niego zakłada się drugi sklep bławatny. „Że mi zrobi konkurencję? Co znowu! Będziemy mieć razem większy wybór i ludzie będą tutaj kupować, zamiast od razu jechać do śródmieścia".

Musimy baczyć, byśmy temu duchowi współzawodnictwa i walki, stanowiącemu jedną z cech atmosfery duchowej angielskiej, nie ulegli.

POLONUS

POGADANKI JĘZYKOWE

FANTAZJE SEMANTYKI

Semantyka (od greckiego „semaino" — „oznaczam"), zwana także „semazjologią", jest to nauka o znaczeniu wyrazów i zmianach tego znaczenia z punktu widzenia historycznego i psychologicznego.

Szukając w zwykłym słowniku, jak przetłumaczyć ten czy ów wyraz obcy, ani się nie domyślamy, jak fantastyczne były przygody tego słowa w jego wędrowkach w czasie i przestrzeni. Ot, weźmy tak niepochlebny rzeczownik jak „i d i o t a": wiemy co przezeń dzisiaj rozumie polszczyzna lub (w jego odpowiednikach) inne języki. Tymczasem grecka pra-postać tego wyrazu („idiotes") oznaczała jedynie zwykłą jednostkę ludzką, przeciętnego („szarego") człowieka. Jak to niewinne znaczenie (poprzez „laika" w przeciwstawieniu do „fachowca", poprzez „człowieka niewyrobionego" i „niepoinformowanego") doszło po wiekach do dzisiejszego „głupca" a nawet „obłąkańca" — to już sprawa zawiłych dróg semantyki.

Mówimy o zmianach znaczenia niektórych wyrazów w czasie. Czyż uświadamia sobie „k l i e n t", a więc człowiek, korzystający z usług jakiejś firmy, że jego starorzymski imiennik („cliens") był kimś zupełnie innym: jednym z czeredy zausznikow, wiszących u pańskiej klamki możnego „patrona", wysługujących się mu pochlebstwem i reklamą, a czasem załatwiających mu drobne interesy polityczne lub inne w zamian za łaskawy chleb i opiekę.

Po cóż jednak sięgać aż do starożytnych języków? Przypatrzmy się naszemu własnemu, jak bardzo się w nim z biegiem stuleci zmieniały znaczenia pewnych słów. „K s i ą d z" był przecież w pierwotnej Polsce nie kapłanem, lecz księciem. Przymiotnik „g r z e c z n y" (etymologia: krzeczy, do rzeczy, odpowiedni, dobry, ładny) znaczył w XVII wieku co innego niż dzisiaj. Wystarczy czytać Paska. A bohaterowie „Trylogii" mówią o „grzecznym kompuciku wojska" lub „grzecznych nóżkach niewieścich". A wreszcie jaką ewolucję przebył wyraz „d z i e w k a", pierwotnie równoznaczny z „dziewczyną" czy „dziewczęciem", a z czasem zacieśniający swe znaczenie do prostej robotnicy folwarcznej lub, co gorsza, kobiety złych obyczajów.

Mówiąc: „s m a r k a c z" lub „ b z d u r y" nie zawsze zdajemy sobie sprawę z niezbyt apetycznej etymologii tych rzeczowników. Bo w niejednym słowie przyćmiło się z czasem jego pierwotne brzydkie znaczenie. I na odwrót niektóre staropolskie wyrazy, ongiś zupełnie godziwe, stały się dzisiaj całkowicie niecenzuralne.

Ale fantazje semantyki płatają figle zmianami znaczenia nie tylko w czasie. Zmiany, nieraz dziwaczne na pozór i kapryśne, dzieją się również w przestrzeni. To samo słowo niekiedy oznacza co innego w różnych językach. Francuskie „ignorer", podobnie jak jego łaciński protoplasta („ignorare"), znaczy „nie wiedzieć"; ale polskie „i g n o r o w a ć" i angielskie „to ignore", to to samo co „udawać, że się kogoś lub czegoś nie zna lub nie dostrzega". Choć znowu w tych samych językach „ignorant" zbliża się do znaczenia łacińskiego, określając człowieka, który nic nie wie czy nie umie.

„S e n s i b l e", to dla Anglika „wrażliwy", ale i „sensowny, rozsądny", podczas gdy dla Francuza tylko „wrażliwy", „uczulony". A angielskie „to control", to nieoczekiwanie „k o n t r o l o w a ć" (mimo że taką błędną wersję znajdujemy często w polskiej prasie), ale przede wszystkim „panować nad czymś".

„R e l a c j a", rzeczownik pochodzenia łacińskiego, znaczy po polsku jedynie „sprawozdanie", podczas gdy po francusku również „stosunek", a po angielsku jeszcze ponadto „pokrewieństwo" i „powinowactwo" oraz „krewny" i „powinowaty".

Co więcej, żeby znaleźć rozbieżności znaczeniowe tego samego wyrazu, nie trzeba sięgać do różnych narodów i różnych języków. Zmiany semantyczne występują na obszarze tego samego języka w postaci różnic regionalnych. W odniesieniu do polszczyzny pisałem o nich już w pierwszej „Pogadance językowej" (ŻYCIE z d. 31.1.54). Przytoczyłem tam także przykłady, jak „b o r ó w k a", która w Polsce środkowej i zachodniej jest czerwona (małopolska „brusznica"), a w południowej czarna („czarna jagoda" innych dzielnic); „s t r u c l a", która zależnie od okolicy oznacza plecioną bułkę lub placek nadziewany makiem lub masą migdałową; „s z n y c e l", który dla lwowianki może być tylko siekany (chyba że wiedeński), a dla warszawianki jedynie bity.

Dziwne koleje losu przebywają słowa. Zrodzone gdzieś w pradawnych mrokach przeszłości, żyją, czasem zamierają, a czasem wędrują poprzez wieki i narody, przekształcają swą postać i znaczenie, niepodobne po stuleciach i tysiącleciach do tego, czym ongi były i co wyrażały, jedne zachowując antyczne dostojeństwo, inne zszarzałe lub strywializowane.

Łatwo byłoby tu wpaść w jakąś historiozofię lingwistyczną. Ale na te tory wolę nie schodzić.

Wig.

TEATR

WYBITNA AKTORKA IRLANDZKA W „ŚWIĘTEJ JOANNIE"

Wydarzeniem w życiu teatralnym Londynu stało się wystawienie w St. Martin's Theatre „Świętej Joanny" Shawa, w której główną rolę gra świetna aktorka irlandzka Siobhan McKenna.

McKenna jest żarliwą katoliczką i zarazem patriotką irlandzką, której językiem potocznym jest irlandzki „gaelic" na równi z angielskim. Poszła na scenę, ponieważ — jak się zwierzała swym przyjaciołom — pragnęła poznać świat, by się potem go wyrzec i wstąpić do klasztoru. Ostatecznie jednak zamarł ten porzucała i pozostała nadal aktorką. Mieszka stale w Dublinie wraz z mężem swym Denis O'Dea i 6-letnim synkiem Donnacha. Donnacha towarzyszył matce w jej tournée po Irlandii, kiedy grała „Świętą Joannę" Shawa w tłumaczeniu na język irlandzki, dokonanym przez nią samą.

Odrzuciła szereg ofert, otrzymanych z Hollywoodu; ambicją jej jest przełożyć szereg innych wybitnych sztuk zagranicznych (m. in. „Peter Pana") na język ojczysty i grać w nich.

Jak wielkie wrażenie wywołują na widzach jej występy w Londynie, świadczą głosy niektórych recenzentów. W „Sunday Times" Harold Hobson krytykuje pewne właściwości jej gry, ale stwierdza, że to nie ma wielkiego znaczenia. „Natomiast rzeczą ważną, i to ogromnie ważną — pisze — jest fakt, że p. McKenna gra Joannę jak dziewczyna, która rzeczywiście widziała Boga... W jej przedstawieniu są chwile, kiedy naprawdę znajduje się ona w Jego obecności."

I jeszcze raz w zakończeniu Hobson nawołuje: „Ze względu na p. McKenna nie należy zaniedbać zobaczenia „Św. Joanny"

50-LECIE PRACY KAPŁAŃSKIEJ
KS. DR. K. KANTAKA

W końcu grudnia 1954 roku Polonia w Libanie obchodziła uroczystość jubileuszową pięćdziesięciolecia pracy kapłańskiej Ks. Dr. Szczepana Kamila Kantaka, zasłużonego pracownika na niwie naukowej, pasterza mądrego a dobrego.

Oto garść szczegółów biograficznych, świadczących o życiu godnym uwagi, wypełnionym pracą po brzegi i to pracą sięgającą do rozlicznych dziedzin zainteresowań ludzkich.

Urodzony w grudniu 1881 roku w woj. poznańskim, Ks. Kantak uzyskał święcenia kapłańskie w 23 roku życia, a w pięć lat później zdobył tytuł doktora teologii na Uniwersytecie we Fryburgu; po upływie następnych lat dziesięciu habilitował się na Uniwersytecie w Pradze — z zakresu historii Kościoła.

W czasie pierwszej wojny światowej i w ciągu dwudziestu lat państwowości polskiej aktywność Księdza Kantaka coraz szersze ogarniała kręgi. Był przez cztery lata wikariuszem katedralnym w Poznaniu, potem dyrektorem Kancelarii Arcybiskupiej, archiwariuszem i bibliotekarzem Archidiecezji a także redaktorem „Dziennika Gdańskiego". Był prezesem zarządu Towarzystwa Wydawniczego Pomorskiego w Gdańsku, założycielem Towaszystwa Przyjaciół Nauk i Sztuk w tymże Gdańsku. W roku 1924 przeszedł do archidiec. warszawskiej, gdzie przez dwa lata był rektorem kościoła św. Jacka w Warszawie, zaś od 1927 roku zostaje profesorem historii Kościoła i bibliotekarzem w Seminarium Duchownym w Pińsku.

Brał czynny udział w życiu naukowym i pisał dużo już w Polsce.

W tym całkowitym oddaniu się pracy, znajduje jednak czas na zwiedzanie w czasie wakacyj krajów obcych nawiązując bliższą łączność z obcym życiem naukowym i kulturalnym.

W czasie drugiej wojny światowej nie ominął Księdza Kantaka los wygnańcy z Polski. Przerzucany w Rosji z obozu do obozu, był w Kozielsku i w Ostaszkowie i w Moskwie na Butyrkach i na Łubiance, i w Griazdowcu.

Z chwilą formowania się Wojsk Polskich w Rosji, Ksiądz Kantak zostaje kapelanem wojskowym. Razem z wojskiem przemierza szlak Teheran — Bagdad. Osiada następnie w Libanie, gdzie jest przełożonym kleryków na Uniwersytecie św. Józefa w Bejrucie. Od roku 1945 pracuje jako duszpasterz i dziekan polski na Syrię i Liban.

Pomimo swych rozlicznych zajęć duszpasterskich, którym oddaje się całym sercem, znajduje i nadal czas na wytężoną pracę naukową. Pisze ciągle i to nie tylko na tematy religijne. Obchodzą go wszystkie strony życia, zabiera głos w sprawach polityki, historii, sztuki... Artykuły jego, rozprawy i recenzje znajdujemy nie tylko na łamach emigracyjnych czasopism polskich, ale również i w prasie francuskiej, niemieckiej, angielskiej a nawet i arabskiej.

Z prac większych, o wysokiej wartości naukowej, wyszło drukiem piętnaście, poniżej podajemy ich tytuły.

Pokorny sługa Boży, ks. dr Szczepan Kamil Kantak łączy w sobie obok głębokiej wiedzy ujmującą skromność i prostotę. Uczynny i dobry, jedna łatwo serca nie tylko swoich, ale i obcych. Cieszy się dużym uznaniem i szacunkiem wśród władz świeckich i między ludnością Syrii i Libanu.

Należy życzyć Czcigodnemu Jubilatowi, aby wystarczyło mu sił do pełnienia jak najdłużej podjętych prac, które prowadzi z tak wielką żarliwością.

OPUBLIKOWANE PRACE

1. Kronika Bernardynów Bydgoskich — Poznań 1908.
2. Geschichte der Bromberger Bernardiner, Poznań 1909, — dysertacja
3. Dzieje Kościoła Polskiego, 2 tomy — Poznań-Gdańsk — 1913-14.
4. Idee religijne w najnowszej literaturze polskiej — Poznań 1918.
5. Mankietnicy i mankietnictwo — Poznań 1913.
6. Katalog inkunabułów książnicy Sem. Duch. w Poznaniu — Poznań 1920.
7. Początki Franciszkanów w Polsce — Gdańsk, 1921 — praca habilitacyjna.
8. In Memoriam — czasu wojny — Gdańsk 1922.
9. J. A. Załuski — przekład z łaciny — Warszawa 1927.
10. Bernardyni polscy — 2 tomy — Lwów 1932-33.
11. Franciszkanie polscy — Kraków 1937-38, 2 tomy.
12. Juliusz Słowacki — utwory pomniejsze — wydano w Jerozolimie 1944.
13. Dzieje Ziemi Pomorskiej — Jerozolima 1947.
14. Le P. Maximilien Ryłło — Bejrut 1950.
15. Dzieje uchodźstwa polskiego w Libanie — 1954.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ZAKAZANE „COMICS"

Podjęta kilka tygodni temu przez część prasy kampania przeciw tzw. „comics" dla dzieci, sławiącym brutalność i obfitującym w okropności, dała zdumiewająco szybkie wyniki. Mianowicie minister spraw wewnętrznych Lloyd George wniósł do Izby Gmin bill, który postanawia, że drukarze, wydawcy i sprzedawcy owych „horror comics" podlegają karze do 4 miesięcy więzienia lub grzywnie sięgającej 100 funtów.

Bill odnosi się do „każdej książki, magazynu lub innego podobnego wydawnictwa, składającego się w całości lub głównie z historyjek (stories), opowiadanych przy pomocy rysunku, z dodatkiem tekstu pisanego lub też bez niego, które obrazują: a) popełnianie zbrodni, b) akty gwałtu lub okrucieństwa, c) albo też wydarzenia o charakterze odrażającym lub okropnym — obrazują w taki sposób, że wydawnictwo jako całość zdolne jest popsuć (to corrupt) dziecko, albo młodą osobę, w której ręce wpadnie."

Bill upoważnia każdego funkcjonariusza policji zaopatrzonego w nakaz przeprowadzania rewizji, do wejścia, „jeśli to niezbędne przy użyciu przemocy", do każdego lokalu, wenikułu lub kramu (stall), używanego przez osobę, która zajmuje się, lub jest podejrzewana o zajmowanie się wytwarzaniem lub sprzedażą takich wydawnictw — oraz do konfiskaty klisz, filmów fotograficznych itd.

Zakazany jest też wedle billu import owych „horror comics" z innych krajów, to jest w praktyce ze Stanów Zjednoczonych, skąd istotnie dużo takich publikacji do Wielkiej Brytanii napływało.

Bill spotkał się z krytyką na łamach „Sunday Times'a". Pismo uznaje zasadniczą słuszność walki z „horror comics", uważa jednak, że sprawa ta powinna być załatwiona łącznie z innymi przez zreformowanie dotychczasowego „Obscene Publications Act" z roku 1857 (na podstawie którego zakazane zostało m. in. ogłaszanie pełnego tekstu „Dekamerona"). Nie podoba się też „Sunday Times'owi", że kary nakładane mają być w drodze administracyjnej, bez możności rozprawy sądowej. Bill — stwierdza pismo — jest wynikiem agitacji, której motywy są zdrowe, chodzi jednak o to, by rezultatem był nowy, starannie przemyślany kodeks.

NOTATKI

„MERKURIUSZ POLSKI"

„Życie Akademickie", najpierw okresowy dodatek do ŻYCIA, później samodzielny periodyk, przekształciło się od stycznia b.r. w „Merkuriusza Polskiego", prawdopodobnie dlatego, że skupia pióra już raczej średniego pokolenia, a nie młodzieży akademickiej, mimo iż nadal pozostaje pod kuratelą Zarządu Zrzeszenia Studentów i Absolwentów na Uchodźstwie.

W ulotce, dołączonej do pierwszego numeru „Merkuriusza", wydawcy oświadczają przekornie, iż nie ogłoszą „deklaracji ideowej", aczkolwiek treść ulotki nie jest niczym innym jak właśnie, skąpą bo skąpą, ale bądź co bądź deklaracją. „Merkuriusz Polski Nowy, nowy tytuł naszego pisma — głoszą m.in. wydawcy — ma być wyrazem, że młodzież nie chce zrywać i nie zrywa z tradycją polską. Nawiązanie w tytule do pierwszego pisma polskiego ma również świadczyć, że dla młodzieży Polska, to nie tylko okres 20-lecia między dwoma wojnami, ale wielki Naród o tysiącletniej kulturze." Brawo! Co prawda, nawiązując tak chlubnie do tradycji należało wpierw rzucić okiem na rzecz, do której się nawiązuje. Pismo, które zaczęło żywot w Krakowie w R.P. 1661 zwało się nie „Merkuriusz", ale „Merkuryjusz Polski", co jest ważne o tyle, że redakcja czasopisma londyńskiego wystylizowała tytuł archaicznie, popełniając w nim poza tym jeszcze jeden błąd w wyrazie „novy". Przenigdy! „V" w Merkuryjuszu" oznaczało „u", a „w" drukowało się tak samo jak dziś, o czym świadczy podtytuł pisma: „Dzieie wszystkiego świata" (nad oboma „a" znajdował się ictus).

„Merkuryjusz Polski" był pismem informacyjnym i odznaczał się bardzo złą i zachwaszczoną makaronizmami polszczyzną, do czego, na szczęście, redakcja londyńska programowo nie nawiązuje.

Pismo zewnętrznie prezentuje się sympatycznie, w treści rozmaicie. Przy pozorach światoburstwa jest raczej konserwatywne i znacznie bardziej zrównoważone niż „Życie Akademickie". Trochę baniek wody sodowej szumi jeszcze tylko w programowej ulotce, napisanej na kolanie, gdzie się znalazły takie kwiatki jak np. „zrodził się pomysł zmienienia pisma", „cena jego („Merkuriusza") ze względu na koszta wynosić będzie 1 szyl. za numer pojedyńczy". Jużci, gdyby nie koszta, możnaby puścić po pensie.

O konserwatywnym romantyzmie redakcji świadczy nawiązanie w 1 numerze do pamięci szlachetnego Lorda Dudleya Stuarta, który z górą 30 lat temu grał wobec emigrantów polskich rolę Lady Atholl i poniekąd Assistance Board. Artykuł wyszedł spod pióra świetnie zapowiadającego się esseisty Mieczysława Paszkiewicza. Również dwa jego wiersze w dziale poetyckim wyróżniają się dojrzałością.

Drugą cechą romantyczną redakcji „Merkuriusza" jest miłość i ocena roli poezji. „Wirydarz poetycki" przynosi ciekawe próby, choć trochę niepokojące jest zjawisko, że w dobie prozy wszyscy redaktorzy piszą wiersze, w prozie zaś nie widać wybitnych talentów. Szkic Adama Czerniawskiego o wielomówstwie w poezji i wspomniana rzecz Paszkiewicza są w tej dziedzinie najlepsze. Osobliwy natomiast jest artykuł o „Renesansie panny", przypominający zeszłowieczne wywody symbolistów niemieckich o erotycznej istocie kultu maryjnego. Autor artykułu utożsamia poezję z religią, m.in. posługując się następującym dowodem: „Obie mają wspólne zmartwienia i radości: jednakowo ciężko przechodzą zawsze biegunkę racjonalizmu, obie największą odnajdują uciechę w pokonywaniu i ujarzmianiu rozjuszonej bestii materii." I dalej: „Czyż Panna-Matka nie jest owym niedoścignym ideałem sztuki. Połączeniem uroku dziewczęcego z rozkoszą niekończących się, nienasyconych nocy miłosnych." A parę stron dalej „Merkuriusz" drukuje pobożnie sprawozdanie z akademii maryjnej. Jak więc widać, rozpiętość poglądów pisma jest wcale znaczna, a liberalizm zdumiewający.

Poważny wysiłek umysłowy dostrzec można natomiast w artykule B. Taborskiego „Studia niepamięci".

W zapowiedzi programowej „Merkuriusz" głosi, że „Życie Akademickie" „starało się przede wszystkim ukazać prawdziwe oblicze dorastającego na emigracji młodego pokolenia". Czasy się zmieniają. Przed wojną za dorosłego uważało się już dwudziestoletniego człowieka, dziś się jeszcze „dorasta" w okolicy trzydziestki. Oczywiście, lepiej późno niż nigdy. Toteż istnieje nadzieja, że skoro „Merkuriusz" wzorem „Życia Akademickiego" nie ograniczy swego programu ideowego do szyderstw ze starszego pokolenia, wówczas ma możność zostać statecznym pismem emigracyjnym.

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń : 1 cal przez 1 łam — £ 10.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Stapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12,, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7 I, (13 b) München 13. o r a z **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska, 424**, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734